Nr. 12. Lwów, dnia 28. grudnia 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Kynegetika.

Napisał Władysław Spausta.

IV.

Upadek hodowli psa łowieckiego w XVII wieku. — Nowe sposoby łowów. — Wiek zabobonów. — Haur. Literatura kynologiczna XVIII wieku w Niemczech. — Smutny stan łowiectwa polskiego w drugiej połowie XVIII wieku. — Charciarstwo we wschodnich dzielnicach. — Dzieło Bobiatyńskiego. — Nowożytne dążenia łowiectwa i zupełny upadek psiarń.

Mimo coraz to ulepszającej się broni palnej, przez cały wiek XVII-ty pies łowiecki a szczególnie pies gończy i chart nietylko nie tracą na znaczeniu w łowiectwie możnych, ale manja utrzymywania zbytkownych psiarń staje się coraz to powszechniejszą. Istniały już podówczas strzelby umyślnie na drobną zwierzynę i na ptactwo, t. z. ptaszniczki; z takiej strzelał Władysław IV. króliki w zwierzyńcu Ujazdowskim pod Warszawą. Ale broń ta, po której spodziewać się należało, że sprowadzi raptowny przewrót w praktyce łowieckiej, istnieje obok powszechnego łowiectwa z ogary i obok namiętnie wykonywanych łowów sokolich. Utrzymywały się dawne zwyczaje, a czem pustszą była knieja, tem większy splendor zewnętrzny krył jej pustki, tem większe rozpasanie objawiało się i w tym kierunku, dopełniając miary upadku, jaki dotknął w tym wieku wszystkie gałęzie działalności społecznej.

Dopokąd trwała równowaga sił pomiędzy koroną a roszczeniami uprzywilejowanych, dotąd trwał i świetny stan państwa. W czasie jednak, gdy ostatnie wysiłki korony spełzły na niczem, i gdy władza korony upadła, wtenczas na wiekowej drodze do gminowładztwa szlacheckiego wytworzył się stan oryginalny: zamiast jednego koronowanego, były setki niekoronowanych królewiąt, setki stronnictw, setki zbytkownych dworów, przy których z wielkim splendorem urządzone łowiectwo i niezliczone psiarnie należały do niezbędnej całości. Psiarniami magnatów chełpiła się niby swojemi szlachta całych powiatów, a możniejsi chcąc naśladować zbytek magnatów na tem polu, utrzymywali znów tysiące psiarni na mniejszą nieco skalę. Psiarnia była rzeczą tak zwykłą na dworze możniejszego szlachcica, że współcześni pisarze mało zwracali uwagi na rzecz tak banalną; w opisach ich spotykamy się zazwyczaj z psiarnią w kniei lub na polu przy sposobności kreślenia rozmaitych epizodów myśliwskich, lecz trudno się tam spotkać, po pismach Ostroroga, z jakiemiś specyalnie do hodowli i tresury psów odnoszącemi się uwagami, któreby posłużyć mogły do wyrobienia sobie jasnego o rzeczy wyobrażenia.

Oprócz dawnych ras i zawodów psów łowieckich, użycie coraz to szersze broni palnej upowszechnia i inne zawody psów — i nowe pojawiają się nazwy, oznaczające po-

chodzenie tychże. Za postrzelonym zwierzem puszczają t. z. „brześnika", który naszczekuje tylko posoczny trop zwierza a omija inne; był to nasz dzisiejszy farbowiec, rosyjski „poszczowaja sobaka", niemiecki *Schweisshund*, prawdopodobnie bastard z wyżlicy i gończaka. Do szczwania grubego zwierza używano t. z. psów „podstrzelczych" albo „osacznych". Były to niezawodnie psy ciężkiej rasy, zwane także szczujami. Zadaniem tych psów było zręczne osaczenie dzika lub niedźwiedzia i ułatwienie strzału myśliwemu.

Jeżeli w XVI. wieku mówiono o wielu w Polsce Akteonach, których literalnie psy zjadły — to cóżby się dało powiedzieć o psiarniach wieku następnego? Nie wystarczały już żartobliwe wiersze Bielawskiego, za małą chłostą byłby już rubaszny a serdeczny humor Reja. Naganne gromy padały z kazalnic lub jadowitem żądłem złośliwej satyry dotykali współcześni szkodliwej tej manii. „Ojcowie w polu przeciw nieprzyjaciołom mężnem towarzystwem obtoczeni stawali, a synowie chartami, wyżłami, ogarami uzbrojeni za biednym zającem po polu biegają, wszak to Polak od pola rzeczony. Aliści po chwili Pana pieskowie zjedzą" wołał ksiądz A. Bieskierski na pogrzebie z Wybranowa Wybranowskiego (Kazanie Szlachcic starożytny r. 1632). Satyry Krzysztofa Opalińskiego mówią o ogólnym zwyczaju utrzymywania psiarni złownych co najmniej z 30 sfór i kilkunastu smyczy. Ileż to tam musiało być i psów i rozmaitej do psiarni potrzebnej hołoty na dworze magnackim, jeżeli wszystko to dokuczyło wreszcie nie biednej pewnie administracyi hetmana Karola Chodkiewicza. Hetman bawił za domem, psiska zalegały pole, dzień na dzień kosztował, a pożytku ni uciechy nie było; to też rządca zapytuje hetmana, co z tem wszystkiem robić, na co z dalekich stron odpowiada hetman: „Myśliwstwo, chociaż drogie, zatrzymać do mego da Pan Bóg powrotu", A działo się to w Starym Bychowie nad Dnieprem.

W niczem na świecie i chwili nie ma spoczynku — albo podnosi albo zniża się fala i w miarę tego charakterystyczne wyciska piętno czasom dziejowym. Początkowo potrzeba, następnie szlachetna żądza pokonania trudności, jakie natura stawia w drodze, i brak innych skutecznych środków pomocniczych w walce z dzikim zwierzem, wychowały psa łowieckiego i dały mu uróść do światowej sławy na tle heroicznej epopei łowiectwa, podniosły do zasłużonej wyżyny wartość i znaczenie odwiecznego, w dobrej i złej chwili wypróbowanego przyjaciela człowieka. Stanowisko, na jakiem postawiły psa łowieckiego bardzo długie wieki, doszedłszy punktu kulminacyjnego, zaczyna się chwiać, a wreszcie od XVII. wieku zwyczaj i moda utrzymują go wprawdzie w dawnych rozmiarach, — moda i przesada charakteryzujące w ogólności tę epokę — treść jednak wewnętrzna, pomimo zewnętrznego poloru, martwieje, gdyż jej sama natura rzeczy wyspiewała pieśń pożegnalną. Szczuplały coraz to bardziej puszcze i bory, ubywało zwierza, w niektórych częściach kraju bezwzględnie prowadzone łowy doprowadziły do zupełnej pustki — a broń palna podawała coraz to lepszą sposobność dostania zwierzyny łatwiej i taniej, co również ważyło już na szali wobec bardzo rozluźnionych stosunków ekonomicznych. To też jeżeli moda podtrzymywała zbytkowne i bardzo liczne psiarnie, hodowla psów łowieckich chyliła się ku upadkowi, a wiele psiarń magnackich w czasie bezustannych niepokojów, gdy panowie inną myślą mieli zaprzątniętą głowę, upadły w zupełnem zaniedbaniu i po dziś dzień tylko podania ludu wskazują miejsca, na których przed wiekami stały zabudowania, służące do pomieszczenia psiarń.

Psiarnie wieku XVII. żyły i podtrzymywały się przeważnie materyałem nagromadzonym w czasach poprzednich, a zobojętnienie dla hodowli psów łowieckich uwidacznia się i w piśmiennictwie. Po pismach Cygańskiego i Ostroroga cały wiek XVII. nie wydał ani jednej pracy piśmienniczej, traktującej o hodowli lub tresurze psa łowieckiego, a najbardziej popularne, bo aż w czterech wydaniach wyszłe dzieło Jakóba Haura: „Skład albo skarbiec znakomitych sekretów ekonomii ziemiańskiej" (po pierwszy raz w 1689 drukowane), jest wiernem odbiciem tego wieku zabobonów i przesądów, razi umysł dziecinnem, przesądnem traktowaniem przedmiotu, zastępując bajeczkami i dykteryjkami brak poważniejszej treści. W dziele Haura napróżno szukać wiadomości czerpanych z natury, któremi tak przepełnione są prostacze opisy Cygańskiego i Ostroroga, nie mówi nic o użyciu i układaniu psów, ale natomiast pełno tam gadania o rozmaitych sekretach myśliwskich, jak gdyby tylko one stanowiły naukę myśliwstwa. Książka Haura to nietylko objaw upadku nauki w Polsce, ale wyraz ogólnego skostnienia całej Europy ówczesnej, obraz zamknięcia się w ciasnych ramach formułek nawet u tych, którzy, skazani na bezpośrednią styczność z naturą, zapoznali jej prawidła i gubili się w przesadzie i w zmyśleniach najpotworniejszych. Porównując dzieło Haura z innemi w tym samym zawodzie pisanemi dziełami wieków poprzednich, nie można się dość wydziwić tej raptownej zmianie i temu obniżeniu się cywilizacyjnej fali dziejów.

Gdy kaleczono piękną mowę ojczystą makaronizmami, gdy w obłudzie panegiryku napuszonego utopiła się dawna szczerość i prostota, to i prawdę przyrodniczą zakryły chorobliwej przędzy dykteryjki, i do nowego życia wkręciły się dawne średniowieczne, a może jeszcze pogańskie urojenia i wyobrażenia o przyrodzie. Już i tak bogaty zapas prastarych przesądów, spoczywający gdzieś w ciemnym kącie wśród prądów prawdziwej oświaty, wzbogacił się teraz nowymi wymysłami chorobliwej fantazyi i urósł w łowiectwie na chwast bardzo szkodliwy i uporczywego żywota. Chwast ten, znany od czasów Ksenofonta, objawił się teraz na nowym, do gustu współczesnego zastosowanym sosie, i żyje jeszcze po dziś dzień *paulis mutandis* jako tak zwana łacina myśliwska, krępując postęp na polu rozpoznania warunków biologicznych zwierza łownego. Świat drobnowidzowych organizmów, badany komplikowanymi przyrządami i mrówczą pracą prawdziwych kapłanów prawdy, przedstawia poniekąd mniej tajemnic biologicznych, niż dość ciasny świat zwierząt łownych, na które patrzą oczy tysiąca myśliwych.

Haur, poświęciwszy 19 i 20 traktat wyłącznie łowiectwu, z niczem ważnem nas nie obznajamia; natomiast nagromadził taką masę niedorzecznych zabobonów, odnoszących się do pojedyńczych zwierząt łownych, że czytając to wszystko doznaje się wrażenia, jakoby tam mowa była o jakichś bajecznych smokach i potworach, a nie o zwierzętach, które myśliwy miał tak często sposobność obserwować dokładnie. Popularne to dzieło, pełne jakichś misteryów i tajemniczych sekretów, wywarło bardzo ujemny wpływ na naukę łowiectwa i utrwaliło niedorzeczne i wprost naturze rzeczy przeciwne wyobrażenia, utrzymując się uparcie aż do naszych czasów w kołach myśliwych, skłonnych przedewszystkiem do wiary w takie urojenia.

Gdyby społeczeństwo łowieckie ożywiały inne o naturze wyobrażenia, dzieło Haura nie doczekałoby się tej popularności i czterech wydań — ale autor, widocznie dobrze obznajomiony z gustami publiczności, wiedział, czem ją rozciekawi, i prawdziwą skarbnicą stały się jego sekrety dla

myśliwych, którzy w znajomości pewnych czarodziejskich sztuczek szukali wywyższenia i odznaczenia. Sztuka układania i hodowli psów myśliwskich była dla tych myśliwych rzeczą zanadto banalną — dowodne psy i sokoły posiadał każdy zamożniejszy szlachcic — to też trudnem było to pole do popisu i do zwrócenia na siebie powszechnej uwagi; lepsze widoki ku temu otwierały się w zastosowaniu rozmaitych sekretów, którymi rzekomo można było zapanować nad zwierzem, zniewolić go, ściągnąć tajemnymi sposobami w pewne miejsce i t. d. Wybitnym okazem takiego myśliwego był znany J. Chryzostom Pasek, o którym, jak sam mówi w swych pamiętnikach, mniemano, że „nieszczęśliwy zwierz, który się z panem Paskiem potka...", a który się tem odznaczył, że: „zawsze dzikich zwierzów tak ćwiczył, że to i łaskawe było i ze psy przestawało i równo swego dzikiego brata goniło" tak dalece, że kto to widział żegnał się: „Dla Boga to czarnoksiężnik, zwierz wszelaki między psy chodzi, czego szuka? czemu tych nie szczuje, co za nim chodzą? To ludzie rozsławili to moje myśliwstwo na całą Polskę..."

Prawa XVII. wieku wspominają o rozmaitych psach łowieckich, wyznaczając zarazem i cenę tychże. Spotykamy tu różne nazwy już dziś wcale nieznane, z których jedynie domyśleć się można o rasach i przeznaczeniu pomienionych psów łowieckich. Ceny psów, jakkolwiek nieporównanie niższe niż w wiekach ubiegłych, obracają się jeszcze zawsze w cyfrach bardzo wygórowanych w porównaniu do cen innych produktów. Szczególnie wysoko cenionymi były „naśladniki", „brześniki", „psy bobrowe" — od 30—40 zł. pol., „kurcze", charty, „uzłajniki" (ogary), „obsoczniki", charty podsokole ceniono na równi po 15—16 złp.; tańszym był wyżeł — 10 złp., a najmniejszą cenę posiadał t. z. „szczuja" około 7 złp. Równocześnie płaciło się za byka stadnego 8 złp., za wołu roboczego 10 złp., za wieprza karmnego 5 złp.

Wpływ zagranicy na łowiectwo już za czasów Jagiellońskich Zygmuntów uczuć się dawał, rugując zwolna w łowach dworskich dawne rodzinne praktyki i kształtując łowiectwo w sposób szablonowy według wzorów z zagranicy zapożyczonych. Już za Zygmunta Augusta obok naszych psiarzy, obławników, osaczników, pojawiają się także jegermajstry, cudzoziemcy, przenoszący żywcem nowe zwyczaje do polskiej kniei. Zamiast dramatów leśnych, w których ukała niegdyś popisów siła, zręczność, odwaga i dowcip, widzimy teraz w łowach dworskich dążenie do hekatomb, wspieranych coraz to monstrualniejszymi środkami, wobec czego rola psa łowieckiego do coraz to podrzędniejszego schodzi znaczenia. Obstawianie ogromnych ostępów sieciami, coraz to szersze użycie broni palnej, która sama przez się wytwarzała coraz to większe zastępy łowieckich dyletantów, w fatalny sposób oddziałało na zwierzostany i w krótkim czasie mogło wyniszczyć je i w tych dziewiczych puszczach, do których wnętrza sięgali teraz coraz to częściej koronowani myśliwi, sprawiając tam rzezie, jakich mały przykład dają nam łosie łowy Władysława IV. w puszczach Rudnickich.

Przykład z góry nie pozostał bez naśladownictwa; to też wnet dają się widzieć zgubne skutki tych praktyk — knieje i puszcze ogałacają się raptem z grubego zwierza — a po wrażenia pseudo-myśliwskie trzeba sięgnąć aż do zwierzyńców, które już od początku XVII. wieku w ogólną wchodzą modę. Wygodne łowy zwierzyńcowe, jako istna parodya dawnego łowiectwa, mogły się obejść już bez złai psów, tem bardziej, że obławy na grubego zwierza były już znane i praktykowane nawet w wolnej kniei (Maciejowski, Polska, II., 361; Pieniążek, Ethica, str. 15). Bohaterski król Jan III., utworzywszy obławę z pojmanych Turków i Tatarów, polował z nią w ulubionej swej kniei Kampinowskiej w ziemi Sochaczewskiej.

Uboższe stany opierały jeszcze zawsze myśliwstwo na tradycyach dawnego łowiectwa, a gdyby nie to i tak jaskrawo występująca indywidualność magnacka — gdyby nie mnóstwo z rodu i fortuny panów, z których każdy mógł o sobie powiedzieć: Król panem w Krakowie, a ja na Nieświeżu — to z pewnością psiarnie i dawne praktyki łowieckie nie byłyby przetrwały aż do naszych czasów.

Pies łowiecki stanowił zawsze jeszcze podarek pewnego rodzaju attencyi. „Cobym miał pisać o myśliwstwie, snadno się każdy domyśli, co za myśliwstwo było u tak Wielmożnego Pana — mówi monograf dworu Stan. Lubomirskiego (1697) — kiedy dnia prawie nie było, aby ktoś nie oddał smyczy chartów, albo sfory ogarów". Ileż tam psów być musiało, jeżeli samych rarożników i sokolników było 30 — jakiż to tabor myśliwski polskiego Pana, z którym się dopiero czuł swojsko w kniei, pewny jak szlachcic „Turski ze swymi ogary..."

Pomimo, że w wieku XVII. w łowach suwerenów niemieckich wyuzdane rzezie przy pomocy osoczni i obławy niemal w ogólną weszły praktykę — której dość wstrętne dowody mamy w łowach elektorów saskich Jerzego I. i Jana Jerzego — pojawia się pies łowiecki dość często w specyalnej literaturze, a osobliwie w początkach XVII. wieku, kiedy tak w leśnictwie, jak i w łowiectwie niemieckiem poczynają krążyć nowe prądy ku lepszemu. W ślad za dziełem „*Sylvi cultura*" v. Carlowitza, które łamie pierwsze lody na polu encyklopedycznej literatury leśnej (1713), wydaje Fleming po raz pierwszy swe wiekopomne dzieło o łowiectwie „*Deutscher Jäger und Fischer*" (1719), pracę najpiękniejszą, jaką łowiectwo niemieckie w owych czasach poszczycić się może. Gruntowne dzieło Fleminga wywołuje następnie cały szereg książek specyalnych. Streszczenie dzieła Fleminga „*Kurzer Begriff der edlen Jägerei*" od 1730—45 wychodzi aż w czterech wydaniach a dopiero w 1746 wypiera go Döbla „*Neu eröffnete Jägerpraktika*". W r. 1751 pisze v. Heppe „*Aufrichtiger Lehrprinz*", dzieło, które jest właściwie monografią psa tropowego *(Leithund)* i opisuje użycie tegoż w łowach jelenia. Z dzieła tego wyczytać można charakterystykę współczesnego łowiectwa, które niczem więcej nie było, jak rozrywką klas możnych. Jaki jest cel łowiectwa? — zapytuje autor i niezawodnie po długim namyśle wygłasza następującą odpowiedź: „*Nichts anders, als eines grossen Herrn vollkommenes Vergnügen an einem Jagen*". W czem zaś szukały możne klasy rozrywki w tych czasach, to już wiemy — w wygodnem mordowaniu zwierzyny przy pomocy potężnych środków bez żadnej troski o przyszłość. Nie można też liczyć tego do wspaniałych kart „szlachetnego" łowiectwa, a do wytworzenia tej ponurej, choć ogromnym splendorem zewnętrznym otoczonej karty, nie potrzeba już było tak bardzo psa łowieckiego, który odgrywał tak heroiczną rolę w epopei łowieckiej ubiegłych wieków.

Nie dziw przeto, że upadała hodowla psów łowieckich u góry, a tylko u klas mniej zamożnych — głównie u służby łowieckiej, której zadaniem było dostarczanie zwierzyny dla dworów i bogatych klasztorów, — utrzymywał się pies łowiecki w wielkiem poszanowaniu.

Historycy łowiectwa (Hohenberg) nazywają epokę, która nastąpiła w Niemczech po wojnie trzydziestoletniej, a u nas nieco później, epoką złotą. Co najmniej mógłbym się zgodzić na taką nazwę. Złotym był splendor i forma zewnętrzna,

ale łowiectwo samo stanowi smutną kartę drapieżnego wyuzdania, tem smutniejszą, że wobec udoskonalonych środków mordowania zwierzyny, nie zmieniły się pojęcia o łowiectwie i panował jedynie system wyniszczenia. Tu już nie hałaśliwa zgraja psów przy odgłosach rogów dojeżdżaczy przebiegała knieje w dzikim za zwierzem pościgu, ale zorganizowane, wymusztrowane masy obławy otaczały knieję zbitym łańcuchem, pędząc przed sobą wszelką zwierzynę na stanowiska strzelców. Z wygodnie urządzonych trybun panowie i panie wyprawiali na wielką skalę igraszki z życiem Co na placu, to nieprzyjaciel — oto zasada ogólna; to też na powabny rozkład takich łowów składały się tysiące łań, cieląt, siut, koźląt, a dość przeczytać relacye współczesnych (*Der Diana hohe und niedere Jagdgeheimnisse, 3 B 1682*), aby nabrać wstrętu do tych dzikich orgii, które w ustach serwilistycznych autorów nazywały się „*Edle Jägerei*".

Z właściwą przesadą swych czasów kreślą nam współcześni obrazy takich polowań: „Nad zgonioną zwierzyną tworzyła się cała chmura wyziewów i pary, a gdy ją wiatr na pola uniósł, wydawała się chmurą morowej zarazy i dusiła oddech w piersiach." Z ostępów, w które zapędziły zwierza długoletnie niepokoje i wojenna wrzawa, wyparowywały go teraz falangi obławnicze, a teren będący sceną wiekowych harców, strojnych poezyą gonu psów i muzyki rogów, przemienił się w krwawe pobojowisko, gdzie już nierówne rostrzygały siły. Łowy takie, praktykowane u nas już dość dawno, rozpowszechniły się na dobre w czasach Saskich, gdy w orszaku króla przebiegała cała zgraja cudzoziemców polskie puszcze, szukając tu wrażeń, których już zabrakło na ziemiach niemieckich. Współcześni cuda opowiadają o przepychach, z jakimi Sasi wykonywali rzezie zwierzyny, a pomnik w puszczy Białowieskiej, wieści również o drapieżnem polowaniu w tym mateczniku żubrów. Raport z r. 1724 donosi o pochodzie myśliwskim dworu w Marymoncie. Było tam 700 strzelców oprócz orszaku dworskiego i 4000 obławy. W 1730 podobne orgie z obławą wyprawiano w lasach Niepołomickich. Zgubne skutki takich polowań specyalnie zaznaczyły się w dziejach naszego łowiectwa — oto w tej epoce wyginął w wielu puszczach zwierz już i tak bardzo przerzedzony, zaginęły ostatki zwierzostanów łosich, urągające długo łowom z psami.

Niemałą szczerbę w historyi psa łowieckiego spowodował zupełny upadek sokolnictwa w połowie XVIII wieku. W r. 1763, zaraz po śmierci króla Augusta III, zniesiono w Saksonii dekretem nadwornym z dnia 25 listopada jedno z najświetniejszych sokolnictw dworskich na ziemiach europejskich. Sokolnictwo wymagało mnóstwa psów i wyższej ich dresury co wszystko, wraz z przeżytem sokolnictwem, utonęło w falach przeszłości, a natomiast zaczął się wyrabiać na innym gruncie wyżeł do polowań ptasich z bronią palną.

Z jednej strony masalne i wszystko niszczące obławy, z drugiej zaś rozpanoszały dyletantyzm łowiecki, doprowadziły wreszcie wiele kniei polskich do ruiny zwierzostanów, że nie było już tam pola dla popisu psiarń, nie było miejsca dla rozrywki starych myśliwych, którzy lepsze zapamiętali czasy. Tylko pewne zakątki, nieprzystępne puszcze lub mało zamieszkałe góry, kryły jeszcze piękne i rzadkie gdzie indziej zwierzostany tak, iż możniejsi myśliwi nabywali umyślnie dobra w tych zakątkach w celu zaprowadzania tam myślistwa staropolskiego. Nadużycia w łowiectwie, samowola posunięta do najwyższego stopnia, wywołały w czasach najmniej odpowiednich dla reform tego rodzaju pewne ograiczenia ustawnicze, a postanowienia prawne z r. 1776 miały rzekomo położyć tamę bezprawiom i nadużyciom na polu łowiectwa. Ustać miał wiekowy zwyczaj polowania na cudzym gruncie, którym się ongi tak chełpił wojewoda Poznański Jan z Ostroroga; psy goniące na obcym gruncie podpadały rygorom karnym w razie wyrządzenia szkody właścicielowi ziemi, a czas łowów ograniczony został na czas w tydzień po św. Bartłomieju (koniec sierpnia) do 1 marca, z tym jednak dodatkiem, że: „prawo to bynajmniej dziedzicom *praejudicare* niema, którym wolność polowania w każdym czasie zostawuje się." Lasy koronne, w których widocznie polował kto chciał, w trzy milowym promieniu około Warszawy zamknięto dla wszelkich łowów, a przekraczający tę ustawę i ujęty przez strażników „straci broń, psy, torbę i *pro poenis* do sądów grodzkich zaprowadzonym być ma." (Vol. leg. VIII 184). Ale rygory te, w części nie obowiązujące tych, którzy nadużycia robili, w części zaś li tylko martwą pozostające literą, nie mogły sprowadzić zwrotu ku lepszemu i wywołały chyba tylko żarty i naigrawania. Szlendrian łowiecki trwał dalej i według słów współczesnego naszego księcia poetów:

„Ażeby tronu nie spełzła ozdoba,
„Dalej Pan robił co mu się podoba." (Myszeis. Pieśń VIII.)

Słabostki łowiectwa rozbiera dalej Krasicki w swych „Wierszach z prozą", a z niewielkiego ustępu tego wyzierają wszystkie ujemne strony ogólnej namiętności i upadek hodowli psa łowieckiego — monstrualna pasya niszczenia zwierzyny bronią palną i straszna pustka polskiej kniei.

„Zakazane są w kraju naszym polowania do świętego Bartłomieja" powiada ks. biskup „przetrzymałem ja tę chęć ile nie wielki myśliwiec, że jednak nie trzeba się szczególnie różnić, wyjeżdżam na polowanie —

I zadziwisz się, mój bracie,
Że myślę o zwierząt stracie".

a *paucis exceptis* była to myśl całego ówczesnego świata myśliwskiego.

„Trzeba jednak o czemś myśleć — a że los nie pozwolił myśleć o czem lepszem,

Potrzeba się, mojem zdaniem,
Zabawić i polowaniem".

I nie grzeszy przeciw kanonom ks. biskup, które krzykliwych łowów księżom zakazują, bo —

„Nie moje idą ogary,
Jeden ślepy drugi stary" —

a dodaje: „może będą jeszcze i chrome i głuche, w tem zaś polowanie, ażeby się zaopatrzyć w strzelby i psy." Idzie więc biskup za tą zgrają, ale chyba na grzyby

„Bo flinty nosić nie umiem,
Choć w pełnym flint żyje kraju".

Wreszcie rozpoczyna się polowanie, stanął każdy na wyznaczonem sobie miejscu — puszczono psy — poszły —

„Po tem pójściu, jak na licho,
Przez dwie godzin było cicho.

Wreszcie o godzinie trzeciej polowania naszego, gdy deszcz fatalny przestał, zajaśniało słońce, i —

Już każdy rozweselony,
Czekał rychło co usłyszy,
Obzierał się w każde strony,
Wszystko jednak było w ciszy,
I trwało to znów przez godzin dwie.
Więc my w radę, co tu czynić?
A że los nie trzeba winić,
Na tośmy się ugodzili,
Iżeśmy się ucieszyli.

Więc zmokli, głodni, kontenci jednak, powróciliśmy się do domu i postanowiliśmy jak najczęściej lasy odwiedzać, ponieważ nie masz w życiu nic zabawniejszego nad polowanie.“

Jest to wprawdzie satyra, ale satyra ks. biskupa serdeczną „mówi prawdę, względów się wyrzeka“ i w prawdziwem świetle przedstawia ogólny obraz rzeczy, w którym zazwyczaj olśniewają świetne wyjątki na dworach niektórych magnatów, gdzie jeszcze utrzymały się i zwierzostany i urządzenia łowieckie, jakich podówczas już nigdzie na zachodzie Europy nie było, gdzie żyły dawne łowieckie tradycye i zwyczaje i przetrwały aż do XIX wieku. Jak niegdyś psiarnią księcia Karola Radziwiłła w Nieświeżu chlubiła się cała Nowogrodzka szlachta, tak w pamiętnym dla nas roku, kiedy „Bóg wojny“ przesuwał swe milionowe szeregi przez zapadłe okolice Litwy, wyprawiał na staropolską magnacką modłę łowy ostatni wojewoda Trocki Ks. Józef Radziwiłł, ordynat Klecki i Dawidgrodzki, a łowy te pozostały w pismach i żyją i żyć będą jeszcze długo w miejscowej tradycyi. Niedawno okryła ziemia naocznych świadków tych książęcych łowów, niedawno zamknęły się oczy patrzące na Radziwiłłmonty — na Olmańskie ostępy, gdzie w jednych łowach wzięto oprócz innej zwierzyny 99 łosi.

Gdzie był w Europie drugi „Niesiołowski stary“ który podówczas jeszcze miał... „pierwsze na świecie ogary,
I dwustu strzelców trzymał obyczajem pańskim
I miał sto wozów sieci w zamku Worończańskim.“

Żyje jeszcze w pamięci starych postać chorążego Steckiego na Wołyniu, w Międzyrzeczu koreckim — nie przebrzmiała jeszcze sława myśliwskich kulików tego Pana w których brała udział szlachta kilku powiatów — a rewirem łowieckim było całe Polesie Wołyńskie. Chorąży z całym taborem łowieckim, z mnóstwem gończych, jamników, kundysów, chartów wyjeżdżał zazwyczaj jesienią z domu, a powracał na Boże Narodzenie do Międzyrzecza, gdzie znów jako gospodarz świetne dla swych gości wyprawiał łowy.

Kwitnęło na Wołyniu i specyalne charciarstwo. Celował w niem dawny pułkownik Napoleoński, Marcin Amor Hr. Tarnowski. Słynne były psy Adama Miączyńskiego z Maciejowa w Kowelskiem. Niejeden pies dzielny, niejedna charcica odniosły tu świetne zwycięstwa na polskiem błoniu wprowadzając w zachwyt amatora tego łowiectwa, w zachwyt fantazyi, któremu dał charakterystyczny wyraz nasz mistrz poezyi, wkładając w usta assesora powiastkę, o charcicy Kani i książęcym myśliwym, który

„objąwszy sławną nią charcicę kanię,
Trzykroć jej w samą głowę dał pocałowanie,
A potem trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,
Rzekł: mianuję cię odtąd księżną na Kupisku:
Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa
Od miejsc, na których wielkie odnieśli zwycięstwa“.

We wschodnich dzielnicach kraju, a w szczególności na Ukrainie, w paśmie ziem stworzonych dla charta, konia i sokoła, łowiectwo z ptakiem utrzymało się dłużej niż gdzieindziej, a charciarstwo, opierając się na przyrodniczych korzystnych temu myśliwstwu warunkach, wykształciło się do niepraktykowanej gdzie indziej doskonałości, i utrzymało się jako namiętna i z szczególnem amatorstwem traktowana rozrywka. Wiekowa emulacya myśliwych, umiejętny dobór i znakomite układanie chartów do łowów na rozmaitą zwierzynę stepową, doprowadziły wreszcie sport ten do prawdziwego mistrzowstwa, a cały zastęp wielkich znawców a miłośników charciarstwa szedł o palmę pierwszeństwa na tem polu.

Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty! — to też i w naszych czasach kto nie poznał harców ukraińskich i podolskich, ten niema pojęcia o tym charakterystycznym sporcie stepu, który choćby jak wdzięczny opis ledwo w bladem może przedstawić świetle. Ukraińskich i podolskich potrzeba obszarów, aby wobec ogólnie praktykowanego charciarstwa, i to charciarstwa niezrównanego, mógł się jeszcze utrzymać jakikolwiek zwierzostan, wiadomo bowiem z doświadczenia, czem są lotne charty dla polnej zwierzyny nawet wobec przestrzegania czasu ochrony.

Od dawien dawna istniejące tam zawody i rasy chartów bogaciły się coraz to nowymi produktami specyalnych hodowców, pozostałymi bądź na gruncie krzyżowania zawodów, bądź szczególnych zalet i celów hodowli, tak, że w naszym wieku spotykamy tam takie mnóstwo li tylko w drobnych szczegółach różniących się gniazd i zawodów, jakich w żadnym kraju odszukać niepodobna. Słynne były psy Borzemskich rasy angielskiej; silne i niezrównane charty polskie zbliżone nieco do angielskich, utrzymywane w Białej Cerkwi i w Stawiszczach; charty rasy psowogórskiej, także pod nazwą kaukazkich lub uralskich znane, były bardzo rozpowszechnione, a szczególniej celowały psy tej rasy rotmistrza Sokołowskiego; krymskie Tyszkiewiczów i chorążego Siemieńskiego, tureckie Wilczyńskiego i Szostkiewicza, słynęły gniazda marszałka Chajęckiego, Przygodzkich i t. d.

Poprzestaję na wspomnieniu wybitniejszych hodowców, bo chcąc bliżej wkroczyć w dzieje tych lokalnych łowów, trzebaby sięgnąć głębiej do kronik rodzinnych, a w takim razie chyba tylko wyliczyć tych, którzy chartów nie utrzymywali.

Bardzo cenione były psy kudłate rasy wołoskiej, i nie było prawie zawodu chartów na starym kontynencie, z którymby tam nie robiono prób; nawet nagi chart afrykański pojawił się na krótko, ale wnet sroga zima stepowa położyła kres Afrykaninowi, — zginął i nie pozostawił po sobie żadnego śladu.

Taka specyalność lokalna wytworzyła szczególnie bogatą gwarę charciarską, w której mnóstwo określeń i wyrazów w żadnym nie odnajdzie słowniku, i które pozostały obce charciastwu innych krain.

Jak całe łowiectwo stepowe, tak i charciarstwo, wywołane i podtrzymywane istotną potrzebą, nie ulegało takim kaprysom zmiennym, jak sposoby łowieckie innych krajów; to też i sukces myśliwski zależał od dzielności psów, które pod wpływem ciągle świeżej krwi najszlachetniejszych zawodów Wschodu aż do naszych czasów utrzymały szeroką sławę. Jeszcze w naszem stuleciu importowano tam charty z dalekich okolic Azyi, a częstokroć Tatar na wielbłądzie od Perykopu jadąc, przyprowadzał obywatelstwu Ukraińskiemu pożądany towar do odświeżenia krwi.

Łowy z psami gończymi odpowiadają najbardziej narodowym zwyczajom i dawnym tradycyom, a utrzymały się osobliwie w okolicach o szczególnej rzeźbie ziemi, w lasach górskich lub moczarowatych aż do naszych czasów. Dzieło o nauce łowiectwa Bobiatyńskiego, wydane w r. 1825, nie mówiąc nic o ochronie zwierzyny, nadzwyczaj szerokim traktatem o psie łowieckim się rozpoczyna, jako „o najważniejszym przedmiocie w dzisiejszym stanie sztuki myśliwskiej“. (Tom I. str. 13).

Zanim nowożytne łowieckie ustawy określiły czas ochrony zwierza, przyszli już dawno nasi myśliwi do przekonania, że bez dobrowolnie wprowadzonej ochrony — w zmienionych stosunkach społeczno-ekonomicznych i agrar-

nych — istnienie łowiectwa wobec użycia psa gończego jest mocno zagrożone, a w pojedynczych wypadkach nawet niemożliwe. Nasi starsi autorowie z pierwszego 50-lecia naszego wieku, zapatrując się na urządzenia ochronne, jakie ongi zaprowadzono w lasach rządowych Królewstwa, w sposób doradczy wskazują właścicielom prywatnym drogę do polepszenia stosunków łowieckich w ogólności. A rygory te w lasach rządowych były nadzwyczaj ostre, szczególnie co do psów. „Wzbronione jest w jakimkolwiek czasie polować z chartami lub ogarami“ powiada art. 51. „Kara za psa włóczącego się w lesie w porze polowań wynosi 10 zł. w czasie ochrony 20 zł. wedłng art. 68. „Psy myśliwskie nieznanego właściciela w każdym czasie mają być strzelane“ (art. 9). „Za psy gospodarskie znalezione w lesie w czasie ochrony bez klocka kara 2 zł. (art. 70).

Ogólne zniesienie łowów na obcym gruncie, prześladowanie psów łowieckich przez sąsiadów, w których obudziły się już postępowe dążenia, wreszcie i w oczy bijące przykłady rozrastania się zwierzostanów pod egidą skrupulatnej ochrony rugowały coraz bardziej psa łowieckiego, zacieśniając granice jego użycia, aż wreszcie po wejściu w życie ogólnych ustaw, pies łowiecki utrzymał się tylko wyjątkowo w dawnym swym stylu. Przycichła więc może na zawsze gorączkująca serce myśliwego muzyka złai, a łowiectwo, zrezygnowawszy z dzikiego ale pewnym romantyzmem owianego pościgu zwierza, wywiesiło nową banderę z nową dewizą postępu: Strzeż i pielęgnuj!

Gdy rozbrzmiały nowe hasła, gdy i w ciemnej kniei tylko *clara pacta* mogły podnieść ekonomiczne znaczenie łowiectwa, myśliwstwo z psem łowieckim według starej modły wyśpiewać musiało swą pieśń łabędzią. Żałośnym dźwiękiem odezwały się z różnych stron szerokich ziem naszych głosy starszych, w innych zwyczajach i tradycyach wzrosłych Nimrodów — wielu nie mogąc znieść widoku polowań z nagonką, odsunęło się zupełnie — ale to reformy nie odwróciło. Wśród innych wymagań czasu pies łowiecki naszych dziejów przeżył się, gdy nowe, dotychczas nieznanej natury względy kierować poczęły tą już nietylko rozrywką ale i ekonomicznej doniosłości gałęzią gospodarstwa narodowego.

Gdym rozpoczynał moją karyerę łowiecką, sforka psów gończych, kurlandczyków — w domu stróż, w polu wyżeł, w kniei doskonały farbowiec — kabzlówka i ogromnych rozmiarów torba, stanowiły cały rynsztunek łowiecki. Różowe to budzi wspomnienia — ale wśród tychże wplatają się i czarne pasemka — chwile najprzykszejsze, jakich tylko może doznać serce myśliwego. Oto ktoś — nie zapomnę mu tego do grobowej deski — ktoś ze sąsiadów, spoglądający długo nienawistnem okiem na mego „Łapaja“ „Lutnię“ i „Bekasa“, wyprawił je raptem do psiego raju według naprowadzonego art. 68. Ale że psia mama nie zaginęła jeszcze, wnet pocieszyłem się „Dianką“ „Szumlasem“ i „Feniksem“. Jednakże nie trwało to długo; pieski moje, nie uznając jakoś katastralnych granic własności, poniosły znów zasłużoną karę, co mnie wreszcie zniechęciło zupełnie do anachronicznej praktyki. Z bolem serca ale pogodziłem się w końcu z nowym duchem czasu, i pogodzić się musiałem, będąc jeszcze za młody do apatyi. Na gruncie racyonalnym stoczyć się miały stare zwyczaje w przepaść bezpowrotnie...

Po całodziennych gonitwach z psami, zdobycz mieściła się częstokroć w worku przy torbie, puchły nogi od biegania, znało się dobrze każde drzewko, każdy przesmyk wśród kniei, znało się dokładnie całą przyrodę lasów w najdrobniejszych szczegółach i zbierało tam mnogo najszlachetniejszych wrażeń. Była to dodatnia strona takich łowów — którą rozkoszować się mógł duch prawdziwego miłośnika natury. Wszystko to się zmieniło, zbladło nie do poznania w nowej praktyce polowań — rury od strzałów się rozgrzewają — milcząc, z zimną krwią, jak skamieniali siedzą na swych stołkach strzelcy, zanim łańcuchy pogonki nie wyjdą na linię — a rozkłady zdobyczy ciągną się długimi szeregami niby hekatomby z ciał ofiarnego zwierza... Ponurej to barwy widok — a nie chcąc ciągnąć porównawczej paraleli pomiędzy stroną moralną dawnych a dzisiejszych łowów, bo niewiele się da powiedzieć o tem — gdyż tak w jednych jak i drugich celem jest dostanie t. j. zabicie zwierza — faktem jest przecie niezaprzeczonym, że nieoględną drapieżność łowów z psami kryły pewne pozory, pewien nimbus poezyi i estetyki, budzący natchnienie u największych mistrzów. I w złotych słowach płynęły fale poezyi, podnosząc pod niebiosa muzykę łowów, grę psów i pienia coraz to doskonalsze sarmackich rogów, które pieszcząc swym dźwiękiem słuch myśliwego tu na ziemi, znikały gdzieś daleko „aż na niebios progu“...

Talerz soczewicy.

Bardzo stara legenda.

W dawnych wiekach, mąż pewien — Izraela chluba —
Miał dwóch synów: Ezawa, a potem Jakóba;
I choć dzisiaj świat twierdzi, że wśród dziejów brzasków,
Nasz wiek jest najciekawszym wiekiem wynalazków,
Że — o czem nie marzyli nasze antenaty —
Niemcy tylko wynaleść mieli majoraty —
Śmiało temu zaprzeczę. Dowód złożę cały,
Że z dawna majoraty na świecie istniały.

Ojciec owych dwóch synów Ezawa, Jakóba,
Magnat Jerozolimski i Judei chluba,
Już posiadał majorat — bo wedle ustawy
Syn jego pierworodny jako dziedzic prawy
Był jego spadkobiercą — a rodzeństwo całe
Miało na apanaże się ugodzić małe.
Z czego się ten Majorat dawnych wieków składał,
Tego żaden statystyk do dzisiaj nie zbadał,
Bo jak piszą kroniki, w Sodomy pożarze
Miały się gdzieś popalić jego inwentarze.
O dziedzicu kronikarz też oszczerstwa prawił,
Że się z Filistynami już lichewką bawił;
Również drugi komeraż nie ma żadnej racyi,

Że się z młodu wzbogacić miał na propinacyi.
Ezaw jako najstarszy miał więc przywileje,
Dla Jakóba, młodszego, li płonne nadzieje.
Ezaw był spadkobiercą tych skarbów szczęśliwym;
Ale Ezaw był zawsze namiętnym myśliwym!
Skoro świt, już w ostępy zapuszczał ogary,
Gonił dzika, niedźwiedzia, przez gąszcze i jary;
Nie wspomina kronika, czy on z lankastrówki
Strzelał tam do zwierzyny — czy też z iglicówki —
Bo przez mędrców niezbicie jest to fakt zbadany,
Że „hammerless“ podówczas nie był jeszcze znany.
Jakób zaś zamyślony — ciągle w domu siedział,
Ale o czem tak myślał?... Sam najlepiej wiedział...

Raz tak siedział przed domem ze sercem w tęsknicy,
I trzymał w ręku spory talerz soczewicy;
Wtem blady, chwiejnym krokiem — z trudu i niewczasu —
Brat Ezaw z strzelbą w ręku powraca od lasu.
— Zastrzeliłem niedźwiedzia!.. Lecz... co trudów!.. chodu!..
Bracie!.. Daj mi ten talerz!.. bo umieram z głodu!
— Aj! waj! — Jakób odpowie — Ty Ezaw zwaryował?
Ja będę soczewicę dla ciebie gotował?
Bo ty na polowanie do lasu chodzujesz,
I zawsze się na objad do domu spóźniujesz?
— Niedźwiedź był postrzelony... dwie doby goniłem...
Aż dopiero go dzisiaj nareszcie dobiłem,
Choć od strzału pierwszego na chwilę się zwalił,
Bom z gorączki nie kulą lecz śrutem wypalił.
Ginę z głodu!.. Daj talerz!.. Daj!.. na miłość nieba!
Dam ci skórę z niedźwiedzia...
— Mnie futra nie trzeba.
Nu — jak ty taki głodny, muszę cię żałować,
I będę tobi jeden geszeft proponować.
Dam ci cały ten talerz za małą zapłatą:
Ty mi tylko majorat twój masz oddać za to.
Wiesz ...nasz tate Izaak już nie dowidzuje,
Bo ślepy — jego łatwo się tak oszukuje.
Nu — bo cóż to dziś szkodzić ma naszemu tate,
Który z nas po nim kiedyś weźmie majorate?

— Czy ty masz Boga w sercu?... A!.. to mi zapłata!..
Czyż byś ty miał sumienie tak obedrzeć brata?

— Jak tylko tobie nie recht... już nie będę gadał,
Ten talerz soczewicy ja sam będę zjadał.

— Ależ ja ginę z głodu... Ledwie się dostałem...
Miej litość!.. Już dwie doby nic w gębie nie miałem.

— Nu — zrób geszeft!.. Co tobie tam się stało w lesie,
Że ty dzisiaj tak twardy jesteś w interesie?
Po co tobie na głowie mieć tyle kłopotów?
Będziesz mógł pif!.. paf!.. ciągle — do tych dzikich kotów.

— Cóż mam począć?... Trud gnębi!.. Tam słota i szarga!..
Bierz majorat!.. Mnie straszny głód wnętrzności targa!
Dawaj talerz!.. Zjem prędko — i nie tracąc czasu
Strzelbę rzucę na ramię — i wrócę do lasu.

* * *

Jakaż się z tej historyi nauka odsłania?
Nikomu nie chcę mego tu narzucać zdania.
Który z braci mądrzejszy?... Czyż ja mogę wiedzieć?
Lecz wiem, w czyjem sumieniu jabym wolał siedzieć.
Żydzi krzyczą ze wzgardą, że Ezaw zły kupiec,
Za talerz soczewicy dał majorat — głupiec!
A Jakób mądry człowiek — bo któżby go zganił,
Że tak sprytnie braciszka swego ocyganił?
Więc z głupoty Ezawa już od wieków szydzą,
I dlatego się odtąd polowaniem brzydzą;
I Ezaw jest wyrzutkiem żydowskiego rodu.
On ostatnim myśliwym był swego narodu...
Więc ci, których zachwyca handlu tego sprawa,
Niechaj wielbią Jakóba... My — wolim Ezawa.

L. Starzeński.

Kilka słów z Podola.

(Dokończenie.)

Przekonawszy się, że dzik schwytany zginął poprostu z głodu, postanowiłem stwierdzić, czy dziki pozostałe w miocie znalazły tam jakie takie pożywienie. Od ujeżdżonej drogi do tropu, którym dziki wyszły, mogło być około 600 do 700 kroków. Przestrzeń tę przecież zwalczę — pomyślałem — zwłaszcza, żem się znalazł na tropie. Nazwał by mnie kto może leniuchem za to, żem się wahał przejść parę set kroków — odpowiem przeto, że było czego się wahać, bo nogi moje, choć nie zbyt krótkie, nie wystarczały do wysokości puszystego śniegu, a że nieraz próbowałem takiej przechadzki, jak to mówią „na upartego“, więc ta już nie bardzo mnie animowała. Ale postanowienie stanęło, więc pomyślałem, że co 25 kroków odpocznę, a przecież dotrę do barłogów. Cóż jednak kto powie, że już pierwszej mety dotrzymać nie mogłem; odpocząć musiałem po 20 krokach i zadecydowałem pokornie skrócić metę na 15 kroków. Lecz gdy i tej dotrzymać nie mogłem, skracałem mety i powtarzałem spoczynki, tak, że w końcu odpoczywałem za każdem niemal stąpieniem.

Więcej niż zmęczony dotarłem do tropu, a tu szło się już lżej, bo dziki utorowały drogę przez ponaginane zarośla. Idąc, zginałem się tu i owdzie popod drzewka, to znowu je podnosiłem, aż w końcu dotarłem do barłogu. Zdumiałem się tu, znalazłszy się nagle na obszernej polanie, której przedtem nie było. Śnieg pomimo swej sypkości ubity na całej przestrzeni, jak na drodze — na całej halawie ani jednego drzewka — wszystko ścięte równo z ubitym śniegiem, a tu i owdzie wysterczają grubsze pienki do 4 cntm. średnicy. Czerniała tu niemal fura grubszego patycza, zniesiona w dwa miejsca, a około nich śnieg bardziej ubity i wytajały; lecz co gorsza, po całej halawie szczeć z dzików rozsypana, farby nigdzie ani kropelki, ani też grubszej kości. Domyśliłem się, że prócz gałęzi i cieńszych drzewek, konsumowały dziki jedne drugich, a najprawdopodobniej te,

które zginęły, służyły innym za pokarm. By się upewnić w tem przypuszczeniu, zacząłem znów poszukiwania, i faktycznie odnalazłem trzy kawałki grubej kości piszczelowej, której dziki do reszty skonsumować nie mogły.

Kilka dni ciężkiego głodu — powtarzam „kilka dni“ gdyż dziki w tem miejscu przebywały, jak się obliczyłem, przez 13 dni, ale już w tym czasie ginęły — doprowadziły do takiego zniszczenia. Reszta, nie mogąc się doczekać, by które którego z towarzyszy dostarczyła jej cielska do zaspokojenia głodu, poszła w rozsypkę. A przecież w tak krótkim czasie nie byłyby tak bardzo podupadły, gdyby już przedtem nie były głodem zniszczone. Widocznie, zwłaszcza mniejszym dzikom, kartofle nie były dostępne, przynajmniej w takiej ilości, by głód zaspokoić. Daremnie więc cieszyłem się pozostałymi kartoflami, nabrałem przekonania, że zbyt wysoki a bardziej jeszcze sypki śnieg utrudnia dzikom wydobycie kartofli co najmniej w dostatecznej ilości, by się od głodowej śmierci uchronić.

Od tej pory żywiłem dziki padłemi sarnami a nie żałowałem także ziarna. A że silniejsze nie dawały przystąpić słabszym — o czem się naocznie przekonałem — rozsypywałem karmę ile możności po wydeptanych ścieżkach, ażeby wszystkie korzystać z niej mogły. Mimo to nie wszystkie wytrzymały do wiosny; znalazłem i później ślady zjedzonych dzików, które zapewne przywlókłszy się z Orszulki, były już tak osłabione, że na kartofle ani też do karmy dowlec się nie mogły. Dziwna przytem rzecz, że nie wszystkie warchlaki wyginęły, czego spodziewać sie było można; ginęły starsze, ginęły i warchlaki, ale i z tych cząstka ocalała. Przy podawaniu karmy już na wiosnę widziałem cztery warchlaki.

Z całego tedy stadka 27 sztuk liczącego, pozostało o ile pewnie podać mogę najwyżej 18 sztuk dzików. Jakże więc „strasznym gromem“ była przeszłoroczna zima na Podolu!

Wobec takiej klęski nie dość u nas wyrzec się strzelania do kozłów. bo nietylko te oszczędzać nam należy, zwłaszcza, jeżeli na dłuższe lata nie zechcemy się pozbyć myśliwskiej przyjemności. Jednym rokiem słusznej bastówki możemy zapewnić przyszłość dla polowań zajęczych, bo na sarny długo u nas bastować należy, by „ze świecą“ nie szukać za kozłem.

Korespondencya z Podkamienia tem bardziej mnie upewniła, że nietylko Podole, ale cały nasz kraj ten „grom“ zeszłoroczny nawiedził. Miałem sposobność zawadzić o zachodnią część kraju, a najlepiej otarłem się o powiat przemyski. Wszędzie dopytywałem się o stanie zwierzyny po ubiegłej zimie — i wszędzie słyszałem skargi na znaczny ubytek sarn; ginęły, pomimo, że zima w tamtych okolicach była nierównie łagodniejszą, aniżeli u nas na Podolu.

A kiedym już zawadził o ziemię przemyską, niech mi wolno będzie podnieść, ku wiecznej pamięci, należne uznanie za niezrównane starania, jakie na polu łowiectwa położył ś. p. ks. Adam Lubomirski, przedwcześnie zgasły właściciel dóbr Miżyńca. Ślady niezrównanej pracy wielkiego miłośnika i hodowcy zwierzyny widać na każdym kroku ku wiecznemu uznaniu. A widząc dalszy ciąg tej pięknej pracy, doznaje człowiek błogiego uczucia, że te starania łowieckie w Miżyńcu się unieśmiertelnią.

Jak wszędzie, tak i w ziemi przemyskiej, „gdzie dbają, tam mają“. A że na żadnem polu nie jest tak trudno jednostce doprowadzić do wybitniejszych rezultatów, jak na polu łowiectwa, więc znowu niech mi wolno będzie podnieść z uznaniem i powinszować Miżyńcowi takiego sąsiedztwa, jakie ma we właścicielu dóbr Radochoniec i właścicielce dóbr Bolanowic. Sąsiedztwa takiego daj Boże każdemu myśliwemu, a możnaby wówczas siłami zjednoczonemi doprowadzić do marzonych rezultatów. Śmiało też rzec można, że w zakątku Miżyńca łowiectwo kwitnie pod każdym względem. Tam nie utłuką ostatniego łba dziczego, tam nieliczna gromadka rosochatych jest pamiątkowo szanowaną, a poczciwa „Dyanka“ tak tam bezpieczna, że nawet udział w śniadaniach łowieckich bierze.

Wspomniawszy raz o „Dyance“, nie mogę już nie poznajomić z nią łaskawego czytelnika. Jest to kilkonastoletnia łania, którą ś. p. ks. Lubomirski dla rozmnoży do swego zwierzyńca sprowadził.

Co też ja o niej się nie nasłuchałem! A można się było dość nasłuchać, bo poczciwa „Dyanka“, to nie jest sobie byle co, i choć to tylko samica jeleniego rodu, zna ją przecież nietylko świat myśliwych, ale i cały gmin rozległej okolicy. Każdy chłopek widział i zapoznał się z „Dyanką“, niejeden poczęstował ją kęsem chleba, a jeszcze więcej ugości się „Dyanka“, wlazszy nieproszona do pierwszej lepszej zagrody.

Nasłuchawszy się dużo różnych opowiadań o towarzyskości, figlach i psotach „Dyanki“, dałem jej przydomek „gazduni gromadzkiej“, lecz sam nie mogłem się z nią zapoznać, bo dla „Dyanki“ szeroki świat otworem, a mnie czas szedł po piętach.

„Dyanka“ pomimo podeszłego już wieku wydaje co roku na świat młode pokolenie. Życzę jej z duszy i jej nielicznemu dotychczas pokoleniu. by św. Hubert miał ich w swej opiece i chronił od tych „strzelaczy“, którzy, jak słyszałem, i zeszłej zimy zniszczyli stadko jeleni, wypuszczonych na wolność w Miżyńcu i ubili dwie łanie, z których na polowaniu wydobyto płód..

* * *

Może, Szanowny Panie Redaktorze, zadużo już nagryzmoliłem dla Twego miłego mi pisma, ale cenna korespondencya z Podkamienia każe mi jeszcze doświadczać Twej cierpliwości. A więc proszę jeszcze o miejsce dla słów kilku odnośnie do uwag zamieszczonych w korespondencyi z Podkamienia co do hodowli kuropatw.

Rażące jest u nas zmniejszanie się wszelkiego ptactwa. Słonki — nie długo czekać — a chyba już tylko w tradycyi będą, kaczek nie ma, dubeltów nie ma, kszyków nie ma — nawet już tej drobnej przepiórki nadarmo nieraz pożądamy. A weźmy na uwagę, że polując na ptactwo, ograniczamy się tylko na przybyszach, którym, prócz nieprzyjaźnych stosunków zamorskich, postęp kulturny u nas wydziera siadła na pielesze i wogóle warunki bytu i rozmnoży.

Jest przecież jedna lotna zwierzyna, o której rzec można, iż z postępem kultury wzmagają się dla niej warunki bytu. Tą zwierzyną są kuropatwy. Otóż i tych nie mamy i najwyższa już chyba pora, aby, nie spuszczając się na coraz rzadszych przybyszów lotnych, zastąpić ich ptactwem własnej ziemi, które jej dolę i niedolę dzielić potrafi.

Miejmy nadzieję, że zasługująca ze wszechmiar na uznanie myśl, wypowiedziana przez taką powagę na polu łowiectwa naszego jak hr. L. Starzeński, znajdzie rychło zwolenników i współdziałaczy. Bo też bez pochlebstwa mówiąc, nie brak u nas ludzi dobrej woli i każda zdrowa rada łatwo się między nami przyjmie i rozkrzewi.

Nie można powiedzieć, aby i hodowla kuropatw była u nas całkiem zaniedbaną, lecz co prawda, działały dotychczas w tym kierunku tylko jednostki i jako takie do rezultatów doprowadzić nie zdołały.

Tak samo działo się u nas i z inną zwierzyną; długa i nieustająca praca wydawała tylko skromne owoce. Że jednak dobry przykład zjednywa coraz większe zastępy zwolenników, więc też do tegośmy przyszli, że dziś już niemal wspólnemi siłami działamy i ze wspólnej pracy cały kraj korzysta.

Te same następstwa czekają nas i z rozmnożą kuropatw, a praca ta zastaje grunt przygotowany i rzucone nań ziarna tem rychlej plon wydadzą. Lecz siewaczy dobrego przykładu zawsze nam potrzeba.

Przed kilku laty dostałem polecenie od JWgo właściciela majątku, w którym już blisko dwa krzyżyki pozostaję, abym pozakładał remizy w celu rozmnożenia kuropatw. Polecenie to przyjąłem z całą gotowością i niezwłocznie jąłem się pracy. A zaznaczam, że na całem Podolu nie znam miejscowości, gdzieby stan kuropatw co najwyżej średnim nazwać można, takich natomiast, gdzie kuropatw nikt nie widział, jest bardzo dużo, a do tych zaliczała się także i miejscowość teraźniejszego mego pobytu. Gdy w roku ubiegłym remizy nasze podrosły o tyle, że zapewniały dostateczne schronisko dla kuropatw, dostałem znowu polecenie zakupna kuropatw. Wszelkiemi siłami starałem się o zakupno kuropatw krajowych, a zdecydowany byłem zapłacić za nie nawet wygórowaną cenę. Nigdzie jednak dostać ich nie mogłem. Wreszcie w poszukiwaniach moich oparłem się o Złotnickiego we Lwowie. Przyszedłszy do handlu zapytałem o kuropatwy, a było to pierwszych dni marca, t. j. w porze bardzo już spóźnionej, chociaż bądź co bądź, kuropatwy z wiosną musiały być remizom dostarczone. Nie rozchodziło mi się o cenę, tylko o kuropatwy.

Na zapytanie moje odpowiedział mi p. Złotnicki, że ma kuropatwy, a wiadomość ta bardzo dobrze mnie usposobiła.

— A dużo pan ma? — zapytałem.

— Jedną parkę — brzmiała odpowiedź.

— Ach, mój panie, to tyle co nic! Potrzebuję co najmniej 30 par.

— Mogę panu dostarczyć — zapewnił mnie p. Złotnicki — i targ w targ, do dni 10-u zobowiązał się dostarczyć 30 par kuropatw po cenie 4 zł. za parkę prócz kosztów opakowania i sprowadzenia.

Niech sobie prawi, co się komu podoba, niech urąga zabobonowi — ale my Podolacy zachowujemy to w tradycyi i wierzymy, że gdy kto kupuje żywy towar i chce, by mu się dobrze darzył, musi sprzedającego potężnie uderzyć w dłoń. Im lepiej walnie, tem lepiej zakupiony towar darzyć mu się będzie. Tak też i ja, kupując żywy towar u Złotnickiego, nie zaniedbałem, broń Boże, tego zwyczaju, zwłaszcza, że mi na tem bardzo zależało, by chów kuropatw mi się udał. Gdy więc p. Złotnicki prawą rękę na zgodę mi podał, ująłem ją w mą lewicę, a prawą tak gruchnąłem, że aż nam świeczki w oczach stanęły. Na tem uważałem już sprawę za ubitą, a sięgnąwszy do kieszeni dobyłem 50 zł. i zadatkowałem kupno kuropatw tem chętniej, żem zauważył, iż p. Złotnicki ladę dłonią pociera..

Wyjechałem ze Lwowa pełen dobrej otuchy co do kuropatw, gdy wtem za kika dni dostaję list od Złotnickiego. Zawiadamia mnie, że udawał się do różnych handlarzy zagranicznych i z ciężką biedą udało mu się dostać 20 par kuropatw. Przypisywał mi winę, że zapóźno się po kurotwy zgłosiłem, i dodał, że dostarczy mi tych 20 par, ale po cenie 6 zł. za parę prócz kosztów sprowadzenia, a oczekując decyzyi telegraficznie, kreśli się z wielkiem poważaniem i t. d.

— Ach, żeby cię kaczka kopła — pomyślałem, a widząc takie trudności, zerwałem interes i odniosłem się telegraficznie do znanej firmy Zirsy w Opawie i dostałem odpowiedź, że kuropatw żądaną ilość dostanę po cenie 5 zł. za parę prócz kosztów opakowania i transportu. Zakupiłem tedy 30 par kuropatw u Zirsy.

Za dni kilka dostaję kuropatwy w sześciu koszykach po 5 parek. Rozpakowuję ten drogi i tak oczekiwany towar i w każdym koszyku znachodzę jednę lub dwie kuropatw nieżywych. A choć te wyschłe ciałka wyglądały mi tak, jak gdyby w tym stanie co najmniej 2 tygodnie leżały, nie mogłem przeciw temu ubytkowi protestować. To wszakże gorsza, że co którą kuropatwę do ręki wezmę, natrafiam na koguta, tak, iż na 51 sztuk odosobniłem tylko sześć kur, t. j. takich, co miały jasne podbrzusza bez podkowy.

Rznę tedy list siarczysty do Zirsy z ubolewaniem, że przysłał mi przeważnie koguty i odbieram następującą odpowiedź: Das Kennzeichen der Rebhüner ist nicht der braune Schild an der Brust, diesen haben oft Hennen auch; der Hahn hat am Rücken rothbraune Federn, während die Henne auf Kopf und Rücken grau ist“.

Począłem więc znowu przepatrywać moje kuropatwy, lecz różnicy na krzyżach dopatrzyć się nie mogłem, z małym tylko wyjątkiem u niektórego starego koguta. No, cóż począć! Może być, że niemieckie kuropatwy różnią się tem od naszych! Zobaczę co z tego będzie. Przyjąłem więc tłumaczenie za dobrą monetę, choć z niedowierzaniem, że zaś poparowania nie byłem pewnym, puszczałem po kilka sztuk razem I do dziś dla mnie jest zagadką, czy bronzowy szyld (podkowa) jest oznaką samca, czy i samice go mają. Rozwiązaniem tej zagadki zrobiłaby Szanowna Redakcya zdaje mi się nietylko mnie, ale i innym czytelnikom „Łowca“ przysługę*).

Z ciekawością wyczekiwałem lęgowej pory, aby się o rozmnoży moich kuropatw przekonać i wreszcie się jej doczekałem. Spotkałem cztery gniazdka po 5, 6 i 7 młodych widłaków, nadto zdybałem 7 sztuk starych, bądź po parze, bądź pojedynczo — reszty odszukać nie mogłem. A że w okolicy naszej dużo kukurydzy uprawiają, więc odszukanie kuropatw jest trudnem; ja też żadnej w kukurydzy nie znalazłem, tylko przeważnie w remizach i kartoflach.

Wyczekiwałem jesieni w nadziei, że gdy choć część kukurydz zbiorą, znajdzie się większa ilość kuropatw; niestety jednak, prócz wiadomości, że w sąsiedztwie wybito jedno stadko (a niezawodnie były to kuropatwy moje, gdyż przedtem ich tam nigdy nie było), do późnej jesieni nie zdybałem więcej. Cóż robić! Byłem rad choć z tak małego przybytku — lecz nastała ta sroga zima i kuropatwy znikły z remiz. Dowiedziałem się, że trzymają się stale w parku, to znowu między stertami na gumnie. Postarałem się tedy o spokój i nietykalność dla nich, a resztę zostawiłem losowi.

I widocznie dość szczęśliwie przebyły tę srogą zimę, bo obecnie w remizach mam około 50 sztuk, a nadto w kamienistym brzegu Zbrucza widziano stadko złożone z 11 sztuk. Na te jednek nie liczę, gdyż tylko szerokość Zbrucza dzieli ich od sąsiedztwa, gdzie nie mogą być bezpieczne.

*) Podkowy piersiowe u samic kuropatwy nie są rzadkością, chociaż najczęściej brak ich zupełny. Niektóre mają po kilka rdzawych plam w tem miejscu, a jeśli mają całe podkowy, to z tą różnicą, że przestrzeń brunatno-rdzawa podkowy białemi końcówkami piór jest poprzegradzana. Dodać należy, że jeśli się trafią w jednem stadku samice z podkowami, to wszystkie je mają, albo są z plamami, lecz najczęściej okazują czysty, jasny środek piersi i brzucha. U samca są sterówki jaskrawo rude, ściemniałe ku końcowi, i białawo wąziutko w samych końcach obwiedzione. U samicy są plamy na piórach barkowych i pokrywach skrzydłowych czarniawe zamiast rudych. *Redakcya.*

Inne duże stado, jak mi mówiono około 30 sztuk, mordowano dłuższy czas w innem sąsiedztwie, a ile z nich uchodząc prześladowania poszło w rozsypkę, i gdzie spokojny kącik dla siebie znalazły — trudno wiedzieć.

Jeśli weźmiemy na uwagę te prześladowania i ciężką zimę, jaką moje kuropatwy przebyć musiały, nadto najważniejszą nierozwiązaną kwestyę, ile kur było sprowadzonych— to rezultat pierwszej jesieni przekonał, że i ze sprowadzonych kuropatw możemy przyjść do pomyślnych rezultatów.

A teraz nasuwa się pytanie, czy kuropatwy wyłapywać na zimę, czy je wolno hodować? Co do mnie, oświadczam się za ostatniem, a to moje oświadczenie poprę następującymi dowodami, stwierdzonymi praktyką.

Przed laty kilkunastu zamieszkiwałem okolicę podlwowską. Tam to zastałem i odjechałem taką ilość kuropatw, o jakiej ja, Podolak, pojęcia nie miałem. Było ich wszędzie dużo, a w późnej jesieni nieraz napotykałem tak duże stado, że jak się zerwały, to faktycznie wrzało w powietrzu. Każdej zimy łapałem tam kilka, lub kilkanaście parek i te przetrzymywałem do wiosny. A mając tam podówczas i własny kawał ziemi, chciałem na nim stworzyć kuropatwie eldorado. To też przeważną ilość parek puszczałem na mojej własności, gdzie oprócz starań i wszelkie warunki rozmnoży sprzyjały.

By mieć radość z tego, że to właśnie moje zabiegi się udają i moje kuropatwy się mnożą, przycinałem każdej puszczonej parce nożyczkami ogonki do połowy. Otóż bardzo często spotykałem wśród tych kuropatw parki niepłodne i z przykrością wieszałem je na troku, widząc ucięte ogonki, choć co prawda, spotykałem je często i w gronie licznego potomstwa. Nabrałem jednak tego przekonania, że nie każda samiczka zatrzymuje siłę płodności po zimie w więzieniu przebytej, a inna znowu bardzo opaźnia się z lęgiem, bo późnej jesieni spotkałem starkę o obciętym ogonku, której potomstwo ledwie do połowy wyrosło. Pewnego razu spotkałem nawet stadko 6 sztuk w dzień św. Michała tak małe, że zaledwie trochę podlatywały. Rozumie się, że potomstwo tak późne skazane jest na zatratę, bo zimy nie wytrzyma.

Jestem więc przeciw wyłapywaniu kuropatw na zimę, a tym, co są za łapaniem, przytaczam fakt świeżo, bo dopiero tego lata, w ziemi przemyskiej sprawdzony.

W pewnej miejscowości właściciel pragnął mieć dużo kuropatw, a że nasi ludziska nie mogli doprowadzić do rezultatu pożądanego, sprowadzono Czecha, który upewniał, że za rok „będi kuropatw jak wrubluw". Otóż Czech ten już wczesnej jesieni łapał co mógł kuropatw w płotki i te przechowywał do wiosny, co się zaś nie udało złapać, wystrzelał na kuchnię twierdząc, że z kuropatwy, co zostanie na polu, nic już nie będzie. Czech ten praktykuje ów sposób rozmnoży już od lat kilku, a wynik jego starań jest taki, że obecnie mniej jest kuropatw niż przedtem było.

A przyznać tu muszę, że nigdzie nie widziałem tak pięknych i licznych remiz, pozakładanych i samorosłych jak w owej miejscowości, ale i to prawda, że nie Czech je zakładał. I gdy w remizach ślicznie zagajonych miały by kuropatwy niezrównane schronienie, dzięki metodzie Czecha, są już od pierwszych dni września a więc przeszło 7 miesięcy męczone na strychu. Ile ich tam do wiosny wyginie, nie zdaje pan Czech nikomu rachunku.

Lecz nie myślę nikogo zmuszać do moich zapatrywań. Kto jest za łapaniem, niech mu Bozia szczęści, starajmy się tylko, ażeby było co łapać i puszczać, i w tej mierze uczynię tylko tę propozycyę, abyśmy nie łapali kuropatw wczesnej jesieni, tylko dopiero na śniegu, a im później tem lepiej przezimują, mając krótszy czas więzienia. Złapane zaś kuropatwy nie trzymajmy razem, bo w każdem zabudowaniu, gdzie ich będzie hurma, dużo też zginie. Każdorazowe podanie żywności powoduje choroby w skutek potłuczenia się kuropatw, a rozpięta w górze siatka nie zapobieże temu. O utrzymaniu czystości, tego niezbędnego warunku przezimowania, mowy być nie może tam, gdzie będzie dużo kuropatw razem; najlepiej przezimują, gdy je będziemy trzymali po parze, w małych kojczykach, w których u góry miasto szczebli ma być wolno naciągnięte płótno. Takie kojczyki bądź gdzie dadzą się umieścić, byle tylko pod dachem. Łatwy do nich przystęp, łatwe podawanie karmy i oczyszczenie, a zapobiegają rozbijaniu się kuropatw, w skutek czego większa ich część ginie, jedna bowiem płochliwego usposobienia niepokoi całe stadko i powoduje dużo złego. Parka, przezimowana oddzielnie w kojcu, daje i tę pewność, że wypuszczona na wiosnę pozostaje w parze już nadal i tem pewniej płodną będzie.

Dzieląc się temi skromnemi wiadomościami, daleki od tego, by ktokolwiek od przyjętych zasad miał odstępować, a przyjmować moje, szczerze tylko życzę myśli z Podkamienia, by w jak najkrótszym czasie znalazła jak najliczniejszy szereg zwolenników. Szczęść Boże!!

Ago.

Nowy projekt ustawy łowieckiej.

Wydział krajowy przedłożył obradującemu Sejmowi nowy projekt ustawy łowieckiej. W motywach do niego czytamy co następuje:

„Wydział krajowy przyjął za podstawę elaborat swój z r. 1887 z pewnemi zmianami tak pod względem wewnętrznego podziału materyi na działy, jako też pod względem odmiennego sposobu wykonywania niektórych przepisów. Podział materyi przyjęliśmy według projektu rządowego, aprobowanego przez komisyę sejmową, przenosząc dział o kartach myśliwskich na ostatnie miejsce po innych przepisach, stanowiących samo przez się treść właściwej ustawy łowieckiej.

„Dalej, co do redakcyi większej części paragrafów, przyjęliśmy tekst podany przez komisyę administracyjną (z r. 1893) z odpowiedniem stylistycznem przerobieniem. Co się zaś tyczy zmian, odnoszących się do osnowy projektu, wprowadziliśmy pominiętą zupełnie w projekcie rządowym ingerencyę władz autonomicznych przy wykonywaniu ustawy, wychodząc z tej zasady, że sprawa łowiecka jako sprawa kultury, należy do ustawodawstwa krajowego, a zatem i Wy-

działy powiatowe z tego tytułu i z tytułu nadzoru nad majątkiem i dobrem gminy, powinny tu mieć zapewniony swój udział.

„W §. 3 przyznaliśmy w ogóle prawo samoistnego polowania każdemu, a zatem i gminom na obszarach stanowiących ich majątek gminny, jeżeli przestrzeń tegoż najmniej 115 hektarów wynosi. Dawniejsze projekty prawo to przyznają tylko gminom mającym własny statut i 30-stu miastom, rządzącym się ustawą z dnia 13. marca 1889. Wydział krajowy jednak nie uważał właściwem odbieranie tego prawa innym gminom, skoro ustawa gminna zapewnia im prawo zarządu majątkiem w każdym innym kierunku.

„Zwyczajny dzierżawny okres polowania w §. 5 proponujemy ustanowić na lat 6 z możnością przedłużenia go pod pewnymi warunkami do lat 12, gdyż taki okres w przeważnej części w innych krajach obowiązuje i z tego powodu wydał nam się słusznym.

„Wydzierżawienie polowań gminnych przekazujemy w nowym projekcie w rozdziale I. C. zwierzchnościom gmin pod nadzorem politycznych władz powiatowych, wychodząc z tego, zdaniem naszem słusznego założenia, że skoro ustawa gminna zapewnia im prawo zarządu, często o wiele większym majątkiem gminnym w każdym innym kierunku, niema najmniejszego powodu obawiania się, ażeby zwierzchności gmin nie zdołały tej czynności bez uszczerbku dokonać. Zresztą, gdyby jaka zwierzchność gminy okazała się do wykonania tej czynności nieudolną, w wypadkach w §. 16 przewidzianych, przyznano politycznej władzy powiatowej prawo wydzierżawienia polowania gminnego w zastępstwie opieszałej lub nieudolnej zwierzchności gminy przeprowadzić. Przez wprowadzenie tego przepisu do ustawy spodziewamy się, że zapobiegnie się licznym narzekaniom ludności na obecny sposób wydzierżawiania polowań gminnych.

„Od dzierżawców polowań gminnych w §. 17 nie wymagamy żadnej kwalifikacyi, tylko od ich wykonawców. Przepis ten skutecznie wpłynąć powinien na pomnożenie licytantów, nie zmuszając ich do zakupywania kart myśliwskich.

„W §§. 49 i 50 zmodyfikowaliśmy przepis o szkodach przez dziki wyrządzanych w ten sposób, że politycznej władzy powiatowej służy prawo uznać odpowiedzialnymi za szkody właścicieli lasów, którzy zwierzęta te hodują, dalej udzielać pewnym osobom certyfikaty na używanie broni palnej dla tępienia dzików i innej szkodliwej zwierzyny, wreszcie na pewien krótki ściśle oznaczony czas wytępianie szkodliwych i drapieżnych zwierząt, a zarazem oznaczyć czas i sposób tępienia. Sprawę szkód przez dziki wyrządzanych w ziemiopłodach uważamy za mającą donioślejsze znaczenie dla ludności wiejskiej w niektórych okolicach kraju, która faktycznie nie mając pozwolenia używania broni palnej, pozostaje wobec tych szkodników bez żadnej skutecznej obrony, czego dowodem tak liczne co roku petycye, wnoszone z zażaleniami do Wysokiego Sejmu.

„Dziki zaliczone są do zwierząt nie podlegających ochronie, a tem samem użytkujący z polowania nie odpowiada za szkody przez nie wyrządzane. Z tego powodu w projekcie tu przedłożonym włożyliśmy na osoby broń posiadające obowiązek tępienia dzików, a zatem i odpowiedzialność za szkody, ale tylko wtedy, jeżeli właściciele lasów, gdzie dziki stale przebywają, nie czynią nic, co przeszkadza ich rozmnażaniu się, a nawet je hodują. Włożyliśmy dalej na władze polityczne obowiązek tępienia i urządzania obław publicznych, a wreszcie także obowiązek udzielania bezpłatnych certyfi katów na posiadanie broni osobom godnym zaufania, bez względu, czy użytkujący z polowania zgodzi się na wybór tych osób lub nie, jak tego wymaga odnośny przepis projektu komisyi sejmowej.

„W dziale III. rozdział B. powróciliśmy do pierwotnego projektu sejmowej komisyi administracyjnej z r. 1893 głównie z tego powodu, ponieważ wedle zasiągniętej wiadomości naszego projektu, zaproponowanego w naszem sprawozdaniu z 5. stycznia 1894, ażeby przyjąć ten sam sposób postępowania, jaki przepisuje ustawa polowa w dziale II. z dnia 17. lipca 1876, c. k. rząd by nie zaakceptował i ewentualnie w ten sposób uchwalonego projektu ustawy do najwyższej sankcyi przedłożyć by nie mógł.

Powołując się wreszcie na motywa nasze, przytoczone w sprawozdaniu z dnia 4. listopada 1887 r., opuszczenie ustępów niektórych z pierwotnego projektu ustawy, jak o dozorcach polowania i udzielaniu nagród za ubicie drapieżnej zwierzyny, usprawiedliwiamy tem, że nie znalazły one w dotyczących projektach, rządowym i komisyi administracyjnej, żadnego uwzględnienia.“

Tyle Wydział krajowy.

Zanim wyrazimy nasze zapatrywania na umotywowane tu zmiany i w ogóle na cały projekt — podajemy poniżej paragrafy jego w całej osnowie, zaznaczając na razie tylko tyle, że podobnie jak w projekcie sejmowej komisyi administracyjnej, tak i tu znalazły już miejsce niektóre postanowienia, o które się Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego w memoryale swym z d. 20. marca 1892 (patrz „Łowiec“ r r. 1892 Nr. 4) upominał.

Nowy projekt brzmi:

Ustawa łowiecka

dla Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem.

I. Prawo polowania i jego wykonanie.

A. Postanowienia ogólne.

§. 1. Każdemu posiadaczowi gruntu przysługuje w granicach niniejszej ustawy prawo polowania, tj. hodowania, wyszukiwania, ścigania, zabijania i przywłaszczania sobie wszelkiej dzikiej zwierzyny i dzikiego ptactwa na gruncie jego będących, jak również przywłaszczania oddzielonych z niej części użytecznych, jak zrzuconych rogów i t. p. oraz jaj dzikiego ptactwa.

§. 2. Zwierzyną łowną (na którą polować wolno) są w rozumieniu niniejszej ustawy: jeleń i daniel, gemza, kozica, sarna, zając, dziki królik, borsuk i świstak. Z ptaków: głuszec, głuszco-cietrzew (mieszaniec z głuszca i kury cietrzewia), cietrzew, jarząbek, pardwa i kuropatwa, przepiórka, chruściel, (derkacz) bażant, drop, czajka, różne rodzaje bekasów jako to: słonka, bekas, dubelt, krzyk, siewka, kulik i t. p. kurki wodne mianowicie: łyśce i zielonki, dziki łabędź, dzika gęś, gatunki dzikich kaczek jak: krzyżówka, łyska, cyranka i t. p. i różne rodzaje dzikich gołębi.

Namiestnictwo może w drodze rozporządzenia' uznać za łowne inne jeszcze gatunki zwierzyny i ptactwa.

§. 3. Prawo polowania na własnych gruntach wykonywane być może albo w sposób samodzielny, albo przez wydzierżawienie.

Wykonywanie prawa polowania w sposób samodzielny, (własny zarząd, wydzierżawienie i t. p.) przysługuje:

a) posiadaczowi nieprzerwanej przestrzeni obszaru gruntowego, wynoszącego co najmniej 115 hektarów, bez względu czy on jest osobą fizyczną, czy też osobą prawną, pojedyńczą luk zbiorową i bez względu, czy ten obszar leży w jednej gminie lub miejscowości, lub czy się rozciąga na terytoryum więcej gmin, względnie miejscowości.

b) Gminie służy samodzielne polowanie tylko co do przestrzeni gruntowej, należącej do majątku gminnego, położonej bądź to w obrębie własnej, bądź też obcej gminy, jeżeli obsza ten wynosi co najmniej 115 hektarów nieprzerwanej przestrzeni.

Drogi, koleje żelazne, rzeki, potoki, kanały jakoteż wody stojące i wyspy na wodach, które przeżynają grunta, nie uważają się za przerwy obszaru, jeżeli sie można dostać z jednej części kompleksu do drugiej nie przechodząc przez obcą posiadłość.

c) Posiadaczom zwierzyńców, to jest przestrzeni gruntowych dowolnych rozmiarów, przeznaczonych do hodowli zwierzyny, a skutecznie i trwale zabezpieczonych przeciw jej wydostaniu się na grunta sąsiednie.

W razie sporu o to, czy jaka przestrzeń gruntowa uważaną być ma za zwierzyniec w myśl powyższego postanowienia, rozstrzyga o tem polityczna władza powiatowa.

§. 4. Wszelkie inne obszary gruntowe, położone w obrębie gminy miejscowej i na obszarze dworskim z tą gminą jedną miejscowość stanowiącym, które nie posiadają warunków samoistnego polowania w §. 3 określonych, stanowią okręg polowania gminnego. Polowanie gminne ma być niepodzielnie wydzierżawione na rzecz posiadaczy gruntów. Przy wydzierżawieniu polowania gminnego zastępuje posiadaczy gruntów reprezentacya gminy, a jeżeli okręg polowania gminnego obejmuje także grunta obszaru dworskiego, reprezentacya gminy z przełożonym obszaru dworskiego według postanowień niniejszej ustawy.

B. Ustanowienie Okręgów polowania.

§. 5. Okręgi tak samodzielnego polowania (§. 3), jakoteż okręgi polowania gminnego (§. 4) ustanowi polityczna władza powiatowa każdym razem na najbliższy okres dzierżawny polowania.

Dzierżawny okres polowania wynosi zwyczajnie lat sześć. Jedynie w wypadkach, w których reprezentacya gminna (przełożony obszaru dworskiego) wniesie u politycznej władzy powiatowej przed upływem przedostatniego roku bieżącego okresu dzierżawnego z uzasadnionych powodów podanie o przedłużenie okresu dzierżawy, może c. k. Namiestnictwo zarządzić przedłużenie co najwyżej do lat dwunastu. Przeciw takiemu przedłużeniu rekurs niema miejsca.

§. 6. Najpóźniej w sześć miesięcy po ogłoszeniu niniejszej ustawy, Władza polityczna powiatowa ogłosi w miejscu swej siedziby, jakoteż w każdej gminie i na obszarze dworskim edykt, mocą którego ci posiadacze gruntów, którzy na nadchodzący, w edykcie określić się mający dzierżawny okres polowania (§. 5) na podstawie §. 3 roszczą sobie uprawnienie do samodzielnego polowania, wezwani zostaną, aby te pretensye w ciągu 6 tygodni u politycznej Władzy powiatowej zgłosili. Edykt ten ma być prócz tego doręczony wszystkim tym posiadaczom gruntów, którzy w bieżącym okresie dzierżawnym polowanie samodzielne na swych gruntach w myśl §. 3 wykonywali.

Do zgłoszenia wystarczy zwykłe podanie do Władzy politycznej powiatowej lub nawet protokolarne oświadczenie z dołączeniem szkicu sytuacyjnego dotyczącej przestrzeni gruntowej. Przy następnem ustanowieniu samodzielnego prawa polowania wystarczy odwołanie się do poprzedniego zgłoszenia.

Polityczna Władza powiatowa ma zbadać zgłoszenia według potrzeby, przedsięwziąć dochodzenia, a następnie ustanowić okręgi polowania tak samodzielnego według §. 3 jakoteż polowania gminnego wedle §. 4 wydzierżawić się mającego.

§. 7. Przeciw uskutecznionemu podziałowi mogą być wniesione zarzuty w ciągu czterech tygodni do politycznej władzy powiatowej.

Polityczna władza powiatowa zbada wniesione zarzuty i po ewentualnem przeprowadzeniu dochodzeń wyda orzeczenie.

Niewniesienie zarzutów i innych życzeń, lub prawomocne ich załatwienie orzeczeniem władzy politycznej ma ten skutek, iż ustanowione okręgi polowań pozostają niewzruszone przez najbliższy okres dzierżawny.

§. 8. Polityczna Władza powiatowa przy ustanowieniu okręgów polowań czy samodzielnych, (§. 3.) czy podlegających wydzierżawieniu (§. 4) obowiązana jest, jeżeli temu nie stoją na przeszkodzie ważne względy na wykonywanie polowania, uwzględnić życzenia gmin i obszarów dworskich, wniesione w ciągu 6 tygodni po ogłoszeniu edyktu (§. 6.) w wypadkach:

a) jeżeli posiadacze obszarów, którym przysługuje prawo samodzielnego polowania z mocy §. 3 lit. *a* i *b*, pragną obszary swoje, i to na cały najbliższy okres dzierżawy, przyłączyć do obszaru polowania gminnego, a zwierzchność gminy na to się zgodzi.

b) jeżeli w warunkach obopólnej zgody, dwie lub więcej gmin, oraz posiadacze obszarów dworskich z mocy §. 4. do okręgu polowania gminnego przydzielonych, zażądają ustanowienia wspólnego okręgu polowania gminnego na cały najbliższy okres dzierżawny.

c) w ten sam sposób uwzględnić należy żądania gmin lub przełożonych obszarów dworskich w kierunku rozdzielenia istniejących dotychczas okręgów polowania, jeżeli szczególne stosunki miejscowe, a głównie różnorodność polowań, rozdział ten usprawiedliwiają i jeżeli żadna z tych części nie będzie obejmowała na przyszłość mniej niż 115 hektarów przestrzeni.

§. 9. Jeżeli kształt lub odgraniczenie samodzielnego lub gminnego okręgu polowania będą tak nieregularne, że użytkowanie na nich z polowania doznałoby przeszkód, lub przynosiło szkodę kulturze łowieckiej w sąsiednim okręgu myśliwskim, może polityczna władza powiatowa na żądanie strony interesowanej, objawione w czasie wyżej w §. 6. oznaczonym, wyjątkowo wyłączyć pojedyncze parcele z terytoryum jednego okręgu polowania, a przyłączyć je do sąsiedniego, przestrzegając, aby wskutek tej zmiany nie nastąpiło zmniejszenie któregobądź z okręgów niżej 115 hektarów przestrzeni.

§. 10. Jeżeli pewna część okręgu polowania o przestrzeni mniej niż 115 hektarów, należąca do jednego lub więcej posiadaczy, otoczona jest przez inny okręg polowania w całości, lub w dwóch trzecich częściach, polityczna Władza powiatowa, na żądanie jednej ze stron interesowanych w czasie właściwym (§. 6.) wniesione, przyłączy tego rodzaju enklawę do otaczającego ją okręgu i odda ją w dzierżawę posiadaczowi tegoż na cały peryod dzierżawy, bez licytacyi.

Czynsz dzierżawny przyłączonych parcel lub enklaw, w braku porozumienia się stron interesowanych, oznaczy polityczna władza powiatowa z uwzględnieniem przestrzeni podług przeciętnych cen dzierżawnych, w trzech najbliższych okręgach polowania gminnego pobieranych.

§. 11. O wszelkich sprawach dotyczących ustanawiania okręgów myśliwskich, tudzież o przeprowadzaniu zmian w ich odgraniczeniu, orzeka w pierwszej instancyi polityczna Władza powiatowa, *po wysłuchaniu opinii Wydziału Rady powiatowej.* (C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Hawłowice 11 grudnia 1895.

(Na lisa w stodole z nagonką).

Dzisiaj polowałem na lisa... w stodole z nagonką. Tej jesieni widywano u mnie w parku dosyć często lisa, a że widywano go czasem z kurą lub pantarką w pysku, stąd w ministerium *generis feminini* (dział chowu rasowego drobiu) lament niemały. Wskutek tego musiałem z pokorą słuchać uwag żony, jak ta: „Mówią, że jesteś dobry myśliwy, ale ja straciłam wiarę w prawdę tych słów — bo wczoraj wziął mi lis rasową pantarkę“.

Myślę sobie: Źle! i każę dać znać, jak zobaczą lisa. Na drugi dzień zobaczyli lisa; niósł sztukę drobiu i pobiegł do parku. Wołam tedy: Kto żyje na pogonkę! Przeganiają podszyte kląby, ja stoję w rogu na dziurze w parkanie — nie wygonili winowajcy. Wracam skwaszony, bo miałem, jak mazur mówi, „zadzier“ na tego lisa — a mój guwerner od angielskich francuzów, skrobiąc się z figlarno-gamoniowatą miną za ucho, mówi: „Ja tego lisa, pasąc koszonerie, widuję, ale on ucieka między stodoły w sterty rzepaczanki“. Idę więc na wizyę lokalną i znachodzę lisie jamy w stercie. „A to bezczelność! Czekaj, zemszczę się!“ Ale cóż, jamników nie mam — a podkurzyć -- spalę sterty i stodoły. Czekam więc śniegu. Dzisiaj śnieg przyprószył. Idę do stodoły i obcinam lisa, który wszedł do szopy, gdzie było 600 kóp pszenicy i nie wyszedł. Szopa pełna po banty, tylko w środku od wnętrza ubrano na jedną młockę pszenicy i tamtędy mykita polazł do góry. Zwołuję 4 parobków na pogonkę, sam staję od stodół, a Eustachego Wolskiego, mego sąsiada, stawiam za stodołą w ogrodzie, obok dziury w parkanie na tropie wchodnym. Pogonka wyłazi na snopy pod dach i zaczyna hałasować. Wtem jeden woła: „Lis! lis! Ucieka pszenicą wierzchem popod same banty ku spichrzowi!“ Lis widzi, że o jego skórę chodzi, skacze na szczycie szopy z pod dachu na ziemię, pod parkan, i pędzi do ogrodu jak szalony. Wtem strzela Wolski, a lis nakrywa się kitą. Była to stara mama lisiego rodu, tak odważna, że się nie bała spać w pszenicy, choć obok była młocarnia w ruchu i młócono cepami.

Byłem zły na tą lisicę, ale teraz przebaczam nieboszczce, bo mieliśmy „Mordhetz“ — i mogę się zapytać śmiało kolegów myśliwych: Kto z was dał polowanie na lisa, gdzie brano miot w stodole, nagonka szła 10 i 14 łokci nad ziemią, a lis ponad nagonką uciekając wyszedł na stanowisko i zginął od celnego strzału?

Teofil Żurowski.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Woli Małnowskiej u p. Aleksandra Przedrzymirskiego, odbyło się dnia 25 i 26 listopada polowanie, które raz ze względu na rezultat, powtóre dla wspomnienia kilku c wil wesołych na miejsce w łamach „Łowca“ zasługuje.

Zabiliśmy 3 lisy, 4 rogacze i 55 zajęcy. Jeżeli wspomnę, że gdy przed kilku laty pan Przedrzymirski kupił Wolę, zając tam należał do rzadkości, nie mówiąc już o sarnie, przyzna każdy, że rezultat powyższy za świetny uważany być musi. Jestto dowód, do czego doprowadzić może myśliwy, dbający o zwierzynę.

W polowaniu brali udział: hr. Łubieński z Krakowca, p. Jan Janicki, hr. Maryan Łoś z bratem, hr. Andrzej Fredro, p. Uleniecki, p. Łucki, dr. Puchalski, Popiel, gospodarz i ja.

Oba wieczory przyjmował serdecznie swych gości uprzejmy gospodarz, dwór małnowski trząsł się od wesołości i złotych humorów, a anegdotki i dowcipy sypały się do późnej nocy jak z rękawa.

Trzeci dzień, t. j. 27 listopada, polowaliśmy, prawie wszyscy ci sami, w Sarnach u p. Łuckiego. Nie dziw, że ten majątek i ta knieja takie miano nosi — bo dawno tyle sarn co tam nie widziałem. Przy niekorzystnej aurze zabiliśmy 3 lisy, 8 rogaczy i 17 zajęcy.

Albert Mniszek.

— W Tyńcu, w dobrach kameralnych, odbyło się dnia 9 listopada polowanie gremialne, którego rezultat mimo ciągłej ulewy i krótkiego przeciągu czasu (polowano od 11 do 4 popołudniu) był, jak na tą niewielką kniejkę, dobry. Padło 29 zajęcy, 3 rogacze, 2 lisy. Rezultat ten, o połowę lepszy niż zeszłego roku, należy odnieść do racyonalnej gospodarki łowieckiej ze strony p. lustratora Koczyńskiego, jakoteż niezmordowanej troskliwości miejcowego leśniczego p. Opatrznego.

Erwin M.

— W Kamionce, pod Kołomyją, polowano w dniu 2 grudnia. Grono myśliwych, dzierżawiące od lat kilku tę knieję, zaprosiło na łowy także arcyksięcia Piotra, zamiłowanego myśliwego. Oprócz arcyksięcia wzięli w polowaniu udział: pp. Tabora z Repużyniec, Łakasiewicz z Zadobrówki, Mikołajewicz z Toutrów, br. Jerzy Wassilko z Berhometu, Aritonowicz ze Skei, br. Kapri z Negusztyny, Gorzycki z Czerepkowiec, Osadca z Czerniowiec, Flondor z Czartoryi, Skibniewski z Hliboki, Popowicz z Michalcza i Popowicz z Kostyny. Rezultat dwudniowych łowów był wcale pomyślnym, jak na obecny rok, ubogi w zwierzynę. Padło 21 kozłów, 11 lisów, 1 dzik i 51 zajęcy. Arcyksiążę Piotr zabił kozła, dwa lisy i kilka zajęcy.

Z Królestwa polskiego.

— W dobrach Jaścieszyńskich u hr. Józefa Mielżyńskiego, polowano dnia 25 i 27 listopada i ubito w siedm strzelb: 2 lisy, 692 zajęcy, 27 królików i 28 bażantów. *Z. K.*

Z W. Księstwa Poznańskiego.

— W Psarach, w powiecie łowickim, u hr. M. Łubieńskiego, odbyło w dniu 18 listopada jednodniowe polowanie, na którem 18 myśliwych ubiło: 3 rogacze, 2 lisy, 107 zajęcy i 16 kuropatw.

— W Zakrzówku (w pow. janowskim, gub. lubelskiej) u pana Tadeusza Kicińskiego, w dniu 19 listopada, odbyło się polowanie w cztery strzelby, na którem padło 35 zajęcy, 2 lisy i kozioł. Przed paru laty polowano w tem samem miejscu w 5 strzelb i przez cały dzień zabito tylko 7 zajęcy.

KRONIKA.

Od Redakcyi. W skutek trudności wydawnictwa, spowodowanych znacznemi zaległościami Sz. Członków gal. Towarzystwa łowieckiego, rozsyłamy ten numer znacznie później. Numer „Łowca“ za styczeń pojawi się zaraz po 15tym stycznia 1896. Tożsamo około tego czasu rozeszlemy „Kalendarzyk łowiecko-leśny“ tym Szan. Członkom Towarzystwa, którzy go sobie życzyli. A zanosimy do nich gorącą prośbę, ażeby nie stawiali wydawnictwa „Łowca“ w trudnem położeniu, ociągając się z opłatą prenumeraty, gdyż tylko punktualność z ich strony może wydawnictwo uczynić punktualnem.

Członków Towarzystwa i w ogóle prenumeratorów „Łowca“ upraszamy w celu utrzymania porządku administracyjnego, aby należytość na rok 1896 wysyłać raczyli pod adresem: „Administracya „Łowca“ we Lwowie“.

Połów wron. Szczególny ten połów wron, jako zwierzyny, odbywa się na mierzei kurońskiej (*Kurische Nehrung*) na Bałtyku. Przypada on na wczesną porę wiosenną. Jadąc wzdłuż mierzei kariolką pocztową na dwóch kołach — do czego, mówiąc nawiasem, wyborne trzeba mieć kości — spostrzega się zarówno na płaskich wybrzeżach morza jak i na stokach wyższych odpłuczysk morskich małe chatki w rodzaju koszów, plecione z rogoziny. Są to t. z. wronie budki, w których ukrywają się łowcy i łowczynie wron, bo i płeć słaba z namiętnością łowom tym się oddaje. Łowiec siedzi ukryty w budce i śledzi przelot wron, które przy mglistem powietrzu nisko ponad ziemią ciągną. O 30 lub 40 kroków od budki leży na piasku rozpostarta sieć, a sznur od niej trzyma łowiec w ręku. Budka osłonięta jest zresztą gałęziami sośniny, aby nie budziła podejrzenia u nadlatujących ptaków. Koło sieci porozrzucane są na przynętę drobne rybki; wiążą również oswojone wrony do palików. Przeciągające wrony, ujrzawszy na ziemi jedną i drugą towarzyszkę, rozkoszujące pozornie przy obfitej biesiadzie, zaczynają nad tem miejscem krążyć, spuszczając się coraz niżej i nareszcie zasiadają do wspólnej z niemi biesiady. Łowiec czeka, żeby się ich skupiło jak najwięcej i w stósownej chwili pociąga za sznur, a duża sieć przykrywa ptaki. Wtedy rozpoczyna się barbarzyńska operacya, przypominająca chyba tryglodytów.

Łowiec przybiega do sieci, bierze wrony po kolei lewą ręką, prawą ściska silnie dziób, i przybliżywszy głowę wrony do swych ust... gniecie jej czaszkę zębami. Ptak ginie natymiast, a mózg występuje na wierzch... Nazywają też tych łowców „wrono-gryzami“ *Krähebieter*. Szczególniej kobieta, zagryzająca w ten sposób żywe wrony, czyni okropne wrażenie.

Uboga ludność mierzei, żywiąca się tylko rybami i przywożonymi z Litwy kartoflami, znajduje ważny dla siebie artykuł żywności w chwytanych masami wronach. Bywają one albo gotowane i na świeżo jedzone, albo peklowane. Zupa z młodych wron ma być nawet wcale dobra. Ptactwo to dostaje się także do hotelów sąsiednich miast i udaje nieraz na półmisku kuropatwę lub gołąbka. Za wronę płacą od 5 do 15 feników.

Czasem razem z wronami dostaje się pod sieć ptactwo drapieżne, jak orły bieliki i rybołowy, albo mewy i idą razem z wronami do garnka lub na pieczyste.

Brzana w Niemnie. Jeden z korespondentów pisze do „Wszechświata“: „Od lat kilku dochodziły mnie wieści, że w Niemnie ukazał się nowy gatunek ryby, dawniej w tej rzece nieznany. W rb. podczas pobytu w Birsztanach sprawdziłem fakt powyższy. Rybą, o której mowa, jest brzana *Barbus fluviatilis*. Według opowiadań rybaków brzana, którą tu zowią „morską rybą“, pojawiła się pod Birsztanami z wiosną 1886 r., od razu w znacznej ilości i znacznych wymiarów, bo nieraz do kilkunastu funtów wagi. Odtąd brzana należy tu do najpospolitszych ryb, a obecność młodych rybek świadczy, że jest to ryba miejscowa. Brzana łowi się łatwo na wędkę i sznury, trudno lub wcale nie w sieci, na t. zw. podrywkę, biją ją także ościami, jak miałem możność sprawdzić niejednokrotnie. Pod Grodnem ryba ta ukazała się od lat 5 i nosi nazwę kiełbia morskiego. Powyżej Grodna, około Mostów, ma się znajdować od lat 4. Jeden z rybaków, który odbywa wycieczki w górę Niemna, napotkał ją i wyżej, ale rzadko, nakoniec jedną sztukę napotkał w Szczarze. Nie mogłem sprawdzić osobiście, jak dawno znajduje się brzana pod Kownem, ale jakoby od lat 11. Tym sposobem w niedawnych czasach rozpoczęła się wędrówka tej ryby w górę rzeki. Brzana wymienioną jest przez prof. K. Kesslera w opisie ryb. gub. kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej; wylicza on jako miejsce jej pobytu Dniestr, Smotrycz, Boh, Dniepr, oraz jego dopływy: Desna, Psioł, Teterów, Prypeć, Horyń. Dniepr szczególniej w nią obfituje w okolicy porohów, a także odznaczają się pod tym względem Horyń i Styr. — Miejscowa rusińska nazwa „Maryna“ — białoruska „Miron“. Kessler wyróżnia 2 odmiany tej ryby: dnieprową i dniestrową. Ryby pochodzące z Niemna zbliżają się do pierwszej. Rysunek brzany, zamieszczony w Atlasie ryb Galicyi przez prof. Nowickiego, zbliża się do drugiej. Prof. Nowicki mówi, że brzana należy do ryb wędrujących i napotyka się w dopływach górnej Wisły i wspomina o niezbyt dawnem ukazaniu się tej ryby. Nakoniec p. A. Wałecki w swoim systematycznym przeglądzie ryb krajowych (1861) wspomina, że znajduje się w Wiśle, oznaczając znakiem zapytania znajdowanie się jej w dolnym biegu. Według dołączonej do przeglądu ryb tablicy, w Niemnie tej ryby nie ma. Pożądanem byłoby dopełnienie tej krótkiej wiadomości i wyjaśnienie obecnego rozmieszczenia brzany w wodach krajowych, a szczególniej daty i miejsc, w których się od niedawna ukazała“.

Odzwyczajenie wyżła od gonienia zajęcy. Do *Jeźdźca i Myśliwego* pisze jeden z jego czytelników co następuje: „Chętnie dzielę się z czytelnikiem odkryciem łatwego bardzo sposobu odzwyczajenia wyżła od gonienia zajęcy, które słusznie uważają dzisiaj za wielką wadę, ponieważ z psem legawym wyłącznie na lotną zwierzynę polować się powinno. Czy środek ten, w zastosowaniu dla wszystkich z tą wadą psów, w równym stopniu skutecznym się okaże, nie umiem tego powiedzieć, gdyż to zależy przeważnie od natury i wrażliwości zwierzęcia. Nie mając wcale pretensyi do ubiegania się o patent na ów wynalazek, w imię ogólnego dobra pospieszam ogłosić go braciom myśliwym, starając się przytem, o ile możności, wytłomaczyć się jasno, nie pominąwszy żadnego ważniejszego szczegółu.

„Przy końcu tegorocznego sezonu polowania na kuropatwy, pies mój, będący w trzeciem polu, zaczął gonić zające, czego nigdy poprzednio nie robił. Nadaremnie próbowałem wszelkich znanych sposobów do odzwyczajenia go od tego, nie wyłączając ani bata, lecz wszystko, niestety, nic nie pomagało! Niemiłosiernie katować psa, jak to wielu w tych razach zwykło czynić, starałem się uniknąć, bo za wielkim jest moim ulubieńcem, a nadto, jako pointera czystej krwi, a zatem wielce nerwowego, oszczędzać należało.

„Tydzień cały suszyłem głowę nad wynalezieniem odpowiedniego środka; aż nareszcie, po wielu pro i contra, przyszła mi myśl, o której nie umiem stanowczo powiedzieć, czy jest płodem mojej fantazya, czy też gdzieś od kogoś zasłyszani — dość, że po wprowadzenie jej w życie, wykrzyknąć mogę: Eureka! jak to kiedyś uczynił sławny Archimedes, gdy odkrył ciężar gatunkowy ciał.

„Ubitego zająca włożyłem do korcowego mocnego worka i w pewnem oddaleniu, aby pies manipulacyi tej nie mógł zauważyć, kazałem go ponieść za sobą w pole. Wkrótce nadarzyła się sposobność wypróbowania obmyślanego środka — pies pogonił za pomykającym zającem. Gdy zadyszany powrócił, najpierw dałem mu dobrze w skórę, a bijąc, wyraźnie kilkakrotnie powtórzyłem — waruj! Po dopełnieniu tej przykrej operacyi, wsadziłem psa do worka wraz ze znajdującym się tamże zającem i jeszcze po należytem zawiązaniu, uderzyłem psa przez worek kilka razy batogiem. Pies, w pierwszej chwili, oszołomiony niezwykłą sytuacyą, począł się w worku szalenie miotać, chcąc koniecznie wydybyć się z niego. Za każdym razem, gdy się uspokajał, ja mu ciągle owego zająca, naturalnie nie odwiązując worka, starałem się przed pysk nakierowywać, aby go wciąż miał przed nosem, wygłaszając przy tem bezustannie „waruj“! Po półgodzinnem trzymaniu psa w worku, aby karę tem dotkliwszą uczynić, oddaliłem się ze 200 kroków i okrążając go, kilka razy na wiatr strzeliłem, udając, że poluję na kuropatwy. Po pierwszym i drugim strzale dostrzegłem usiłowania gwałtownego wydobycia się z uwięzi, a przy następnych tylko żałośne skomlenie z wyciem, spowodowanem prawdopodobnie zazdrością, czy też żalem, iż pies w polowaniu uczestniczyć nie może.

„Trzymanie psa w worku trwało mniej więcej godzinę, a gdy przyszedłem go uwolnić, znalazłem więźnia zadyszanego, mocno farbą umazanego, z miną ogromnie niewyraźną. Aby ostatecznie jeszcze bardziej ród zajęczy psu obrzydzić, przyczepiłem mu krótko do obroży zająca, którego z pół wiorsty dźwigać musiał.

„Nazajutrz wyszedłem w oziminy, aby tam spotkać sporo zajęcy i przekonać się o rezultacie dokonanej próby. Naumyślnie dozwoliłem psu chodzić daleko, niczem go nie krępując. Zające tego dnia dobrze dotrzymywały i pomimo, że psu z pod nosa wymykały, za żadnym nie pogonił. Polowałem następnie jeszcze ze dwa tygodnie na kuropatwy, spotykając przy tej okazyi wiele zajęcy, na które pies zupełnie żadnej uwagi nie zwracał.

„Jeżeli kto z kolegów myśliwych zechce zastosować opisany przezemnie sposób, to upraszam o powiadomienie za pośrednictwem niniejszego pisma o osiągniętych rezultatach.“ *J. B.*

Niemczyzna myśliwska. Przysłowiowa łacina myśliwska może iść nieraz w kąt w obec tej „niemczyzny myśliwskiej“, jaką spotykamy w sportowych pismach niemieckich, szczególniej wtedy, gdy im przyjdzie pisać z Galicyi i o Galicyi. Świeżą tego próbkę dał jakiś były wojskowy B., opisujący w *Weidmannsheil* Nr. 18. swe nieszczęście myśliwskie *„aus einer der unwirthlichsten Gegend Galiziens knapp an der russischen Graenze“*. Pan ten chciał koniecznie coś upolować, zwłaszcza, że właściciela wsi nie było w domu, lecz leśniczy, *„welcher, nebenbei gesagt, in anderen Kronlaendern der Monarchie kaum zum Dienste als Heger zu verwenden gewesen wäre“*, — nie mógł mu jakoś ani żadnego kozła, ani zająca pokazać, do któregoby mógł wystrzelić. Nareszcie raz dał mu znać ów nieszczęśliwy „kaum-Heger“, że zając siedzi w lucernie, więc p. B. poszedł, wycelował — i ubił biednego szaraka. Teraz chodziło o niespodziankę. P. B. zafundował antałek piwa okocimskiego dla kolegów z „menaży“, a dawszy zająca dworskiej kucharce, która nie miała i tak nic do czynienia, bo państwo wyjechali, prosił, żeby go cichaczem przyrządziła i ugarnirowała „knedlami“.

Wszyscy siedzą przy „menaży“ — beczułkę się otwiera — wtem wnosi kucharka nakryty półmisek i odchodzi. Pan B. podnosi pokrywę z tryumfem i znajduje... zająca całego z łbem, słuchami i skokami, upieczonego jak prosię. Sensem moralnym opowiadania jest oczywiście wzgardliwe ubolewanie nad barbarzyństwem Galicyi, gdzie dworska kucharka nawet zająca podać nie potrafi. Nam wszakże, jeśli to wszystko jest prawdą, zdaje się, że filut „kaum-Heger“ i kucharka musieli się tego wieczora bardzo śmiać z figla, urządzonego Niemcowi.

Żabia kolonia. Pewne okolice Islandyi, zwłaszcza w pobliżu wielkich jezior tyle, w lecie rodzą much i komarów, że np. mieszkańcy brzegów Mywatu (jeziora komarów) muszą do robót w polu wdziewać na głowy maski, a na ręce rękawice, aby się ochronić od bolesnego ukłucia owadów. Niema na Islandyi żadnych płazów ani amfibiów, któreby tępiły te przykre owady, to też ubiegłego lata złowił kopenhagski lekarz dr. Ehlers pod Charlottenlundem w pobliżu Kopenhagi 40 sztuk, a jego towarzysz, pewien lekarz niemiecki w Köpenick'u pod Berlinem, 100 sztuk żab i z tym skarbem wybrali się do kraju gajzerów. W drodze pozdychały duńskie żaby zaraz po pierwszym dniu podróży, niemieckie jednak zdrowo dojechały do miejsca przeznaczenia. W pobliżu Rejkjawiku wrzucono całą kolonię żabią do wielkiej błotnistej kałuży i odtąd mogli się Islandczyczy co wieczór zachwycać nieznanym im dotąd koncertem tęsknego rzechotania. Na moczarach rejkjawickich gnieździ się mnóstwo kaczek, a jak przewodnicy żabich emigrantów opowiadają, ptaki te z wielkiem zajęciem przyglądały się nieznanym sobie czworonożnym kolegom po błocie.

Niezwykłe polowanie par force. Do takich polowań zaliczyć należy par-forcy w zachodniej części Anglii nad brzegami morza; zdarza się, że zwierz ścigany bywa wzięty wśród dopływających bałwanów. Co za przepyszne tło obrazu dla rodzajowego malarza!

Najsłynniejsza psiarnia, polująca w tej części Anglii, nosi nazwę „Devorn i Somerset“. Psiarnia ta jest złożona z 40-stu rasowych fox hound'ów (noszą też nazwę staghounds), rosłych i silnych; psy te mają tę wyższość nad psiarnią królowej, lorda Rothschilda lub 19go pułku huzarów, że forsują dzikiego jelenia, a nie jedynie jelenia wypuszczonego z klatki.

Okolica, w której się wzmiankowane polowania odbywają, należy do najbardziej malowniczych i trudnych. Jest falista, i poprzecinana wysokiemi wzgórzami o stromych spadkach i głębokich jarach Często napotyka się wały z ziemi, a na nich wznoszą się gęste żywopłoty. Jeleń zdaje się igrać z temi wszystkiemi przeszkodami, tak je przebywa łatwo, rosłe i silne psy idą za nim zapamiętale, a za psami cwałują konie pod jeźdźcami, śmiało przesadzając zapory lub wspinając się po stromych wzgórzach, aby następnie rozpocząć znów galop. Czasami idzie tak aż do morza i wśród fal kończy się zawzięty wyścig.

W tym rodzaju polowanie miało też miejsce we Francyi w pobliżu Treport w 1887 r. i jest godnem wspomnienia. Dwie psiarnie złączone, pana de Bauffres i hr. Valanglart, poszły za młodą lochą, wyparowawszy ją z legowiska z trzcin morskich. Przez pół godziny pościg był nadzwyczaj ostry, przybliżono się do urwistego wysokiego brzegu. Zwierz, czując się gonionym zbliska, bez wahania rzucił się desperacko w przepaść. Pomimo strasznego skoku, dzik ani nie zabił się, ani nie połamał członków i poszedł dalej. Psy też poszły za przykładem zwierzęcia. Jedne się staczały, inne skakały śmiało i dwa z pomiędzy nich na miejscu się zabiły.

Cóżby się było stało, gdyby ten epizod miał miejsce w czasie przypływu morza! Cała psiarnia byłaby utonęła. Na szczęście były to godziny odpływu i brzeg był nagi i odkryty. Dojeżdżacz La Gigne, gdy się znalazł nad przepaścią, również nie cofnął się, ale jakoś się zsunął ze swym koniem szczęśliwie na dół.

Nad morzem pościg rozpoczyna się na nowo. Maciora naciera, rzuca się w bałwany, psy za nią i nakoniec zostaje zabitą przez dzielnego dojeżdżacza. Dużo jednak kosztowało trudu, aby zwierza wyciągnąć z wody, a następnie dźwignąć na wysoki brzeg, na który ani dojeżdżacz ani psy nie mogły powrócić tą samą drogą, którą zeszły.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.